

Jak nas widzą,
tak nam piszą



czyli
znani autorzy
dla
Książnicy
Płockiej

Płock 2017



Redakcja
Joanna Banasiak

Korekta
Joanna Kościelska-Krawczyk

Projekt okładki i skład komputerowy
Dorota Zalewska

Copyright by © Książnica Płocka
Wszelkie prawa zastrzeżone

Wydawca: Książnica Płocka im. Władysława Broniewskiego
09-402 Płock, ul. Tadeusza Kościuszki 6

Druk i oprawa: Drukarnia MEDIAKOLOR Sp.J. Płock

ISBN 978-83-88028-93-9

Słowo wstępne
Joanna Banasiak Dyrektor Książnicy Płockiej..... 4

Autorzy:

Wanda Chotomska	6
Małgorzata Flis	7
Agnieszka Frączek	9
Małgorzata Gutowska-Adamczyk	10
Tomek Leśniak i Rafał Skarżycki	15
Radosław Lewandowski	16
Ewa Nowak	26
Jacek Ostrowski	30
Joanna Papużyńska	45
Eliza Piotrowska	46
Olga Rudnicka	48
Michał Rusinek	59
Tomasz Samojlik	60
Andrzej Stasiuk	61
Dorota Sumińska	62
Kazimierz Szymeczko	64
Olga Tokarczuk	65
Agata Tuszyńska	66
Paweł Wakuła	67
Oliwia Kordalewska	68



*Kochani, Drodzy Państwo, Przyjaciele,**

dość często otwierając wystawy, rozpoczynając spotkania czy zapraszając na inne wydarzenia w Książnicy Płockiej, mówię, że dzieje się to po raz pierwszy. A tym razem z przyjemnością to piszę. To pierwsza taka publikacja w naszych dziejach. Czuję się w obowiązku wyjaśnić, skąd ten literacki kolaż.

Był listopad 2016 roku, w Książnicy Płockiej, w ramach literackich czwartków, trwało spotkanie ze znaną autorką kryminałów. Zgromadziło wielu fanów tego gatunku. To reprezentanci tych 37,5% Polaków, którzy czytają. Mieliśmy szczęście, że ta kulminacja miłośników literatury w naszej okolicy przypadła właśnie na ten dżdżysty, listopadowy wieczór, właśnie na salę kolumnową. Spotkanie niezwykle ciekawe, dynamiczne, ale moje myśli, mimo wszystko, krążyły wokół tego, co zbliżało się do nas wielkimi krokami. Jubileusz. 80-lecie.

Nic się nie zdarza, jeśli nie jest w pierw marzeniem – z pewnością w tej myśli Carla Sandburga jest wiele prawdy. W praktyce odrobinę ją jednak modyfikuję – skracam do minimum etap marzenia. Pomysły bardzo szybko nabierają konkretnych kształtów. I nie chodzi bynajmniej o to, że nie lubię tego dreszczu emocji towarzyszącego marzeniom, ale mając przed sobą sprecyzowaną wizję, łatwiej zacząć działać.

Tak było i teraz. Błysk. Marzenie. Szybka analiza, czy możliwe do realizacji. Zdecydowanie tak. I konkret. Skoro Jubilatka, to mile widziane prezenty, taką mamy przecież tradycję. Ci, którzy świętują są obdarowywani. I radość jest obopólna, bo tak samo cieszy przyjmowanie prezentów, jak i ich przekazywanie.

I żeby dać sobie i innym powód do zadowolenia (tacy z nas altruści!), zaproponowaliśmy pisarzom, poetom, rysownikom, żeby napisali dla nas, narysowali. I wielu z nich zgodziło się! To cudowne, że są ludzie, którzy potrafią spontanicznie reagować na takie, nie do końca oczywiste, pomysły.

*zaznacz odpowiednią opcję :)

A może to biblioteka wyzwala te dobre emocje? To całkiem możliwe, przecież to w końcu miejsce magiczne. I tę magię tworzą ludzie. Z jednej strony bibliotekarki (i bibliotekarze - w naszym przypadku w liczbie dwóch), a z drugiej – czytelniczki i czytelnicy (jak już poprawność, to do końca). Ważne, by łączyła ich pasja, otwartość na innych, chęć zmiany, oczekiwanie na coś więcej, ba, nie samo oczekiwanie – ale aktywność, by to „coś więcej” dokonało się. I dokonuje się każdego dnia, a nawet niektórych nocy. Tak, nocy. Pamiętamy przecież tłumy wędrujące naszymi krętymi schodami podczas Nocy Muzeów, gdy Książnica *śmiesz, tumani, przestrasza*. Ale też daje solidną dawkę wiedzy – chociaż to nie my wymyśliśmy, żeby bawiąc, uczyć, to u nas dobrze działa. Poświadczają to fenomenalne wpisy, które zostawiają goście tej jedynej w roku nocy:

Jesteście wspaniali STOP Wróć tu za rok STOP Książnica jest super STOP AZ

Bardzo podoba mi się Książnica Płocka i coś czuję, że będę tu częściej przychodziła. Nadia 10 lat

Noc w Książnicy pełna atrakcji – jak zwykle. Szkoda, że tylko raz w roku Droga Szefero. Podwyżka dla wszystkich

Bardzo nam się podobało. Bez książek nie dajemy rady. MBOE z Łącka.

I my też nie dajemy rady bez książek, więc robimy wszystko, by się nimi otaczać, a co więcej, by się otaczać takimi książkami, które mają w sobie to „coś”, które powodują, że musimy czytać tu, teraz, natychmiast albo wręcz przeciwnie – delektować się powoli, wracać po wielokroć.

I tu dochodzimy do sedna. Macie w ręku książkę niezwykłą. Stworzyli ją znani i poczytni autorzy, poeci, a także ci, którzy raczej *piórkiem i węglem* opisują świat. Są wśród nich i twórcy z naszego pięknego grodu, których książki zna cała Polska. Wszyscy napisali albo narysowali specjalnie dla nas, dla Was! Czasami są to po prostu życzenia, ale czyż taki gest nie jest fantastyczny! Jest, bez wątpienia! Wszystkim, którzy nas obdarowali dziękuję najpiękniej jak tylko to możliwe. Za otwartość, za spontaniczne TAK i tę niekoniunkturalną życzliwość.

Pozostaje mi życzyć inspirującej lektury. Właśnie inspirującej, a nie przyjemnej, bo w tym przypadku w słowie przyjemnej kryje się jakieś uśpienie, a my chcemy Was pobudzić. W końcu jedna z niewykorzystanych wersji tytułu tej publikacji brzmiała *Pełna poczytalność*.

Czego sobie i Państwu życzę
Joanna Banasiak



Wanda Chotomska
KSIĄŻNICY PŁOCKIEJ na 80-lecie

Środek Polski – gniazda mojego,
miasto nad Wisłą, nad rzeką moją,
co mnie z nim łączy? – zaraz opowiem,
jeśli mi Państwo na to pozwolą.

Nad brzegiem Wisły, przed wielu laty
czytałam książki pod okiem taty,
który wędkował przez całe ranki,
ja połykałam wszystkie czytanki.

Miłość do książek – największa miłość,
z jaką przez życie drepczę z uporem,
to najpiękniejsza miłość na świecie,
książki to przecież – dzieci moje.

A tu nad Wisłą w Płockiej Książnicy,
wiedzą coś o tym jej pracownicy –
dla moich książek stworzyli domek –
świątynię książek – Domek Chotomek!

Dzięki, Kochani, za to siedlisko,
za Wasze serca, za Waszą pracę –
z okazji święta Jubileuszu
ściskam Was, licząc,
że Was zobaczę.

Przylecę do Was na skrzydłach marzeń,
przywiozę wiersze jeszcze nieznane
i będę najszczęśliwszą z istot,
patrzac, jak chętnie są czytane.

Wanda Chotomska





Wszystkiego najlepszego z okazji Jubileuszu!

:-)

Agnieszka Frączek

Zaczytanym

Nie trzeba mówić zaczytanym,
co za czytany słowem tkwi,
nie trzeba mówić, sami wiedzą,
co to za frajda, wiercie mi.

Jednemu w pamięć smok zapadnie,
lochy, pułapki i zapadnie,
innemu jakiś elf zalotny
lub gruby praptak, nie za lotny.

Ktoś zapamięta squaw z wigwamu,
ktoś kosztowności stos z Sezamu,
ktoś Sfinksa skrzydła i zagadki,
ktoś inny psa, co cap! za gatki.

Nie trzeba mówić zaczytanym,
co za czytany słowem tkwi –
oni tak lubią zaczytanie,
że za czytanie daliby
i osiemdziesiąt sześć wigwamów,
i cały Sezam, wiercie mi.



Małgorzata Gutowska-Adamczyk

Temat na powieść

Kupiłam ją na Allegro za złotówkę i prawdę mówiąc, nie oczekiwałam zbyt wiele. Tytuł był ciekawy, ale chyba wyłącznie dla mnie, bo sprzedający poinformował lojalnie, że książka posiada stemple biblioteczne.

Zatem nikt jej nie wypożyczał? – pomyślałam ze smutkiem.

Po otwarciu paczki stwierdziłam, że jest też trochę podniszczona. Brązowe płótno, w które ją oprawiono, poprzecierało się, zakurzyło i zbladło. Ale to nie stanowiło problemu, kupuję sporo pozycji z drugiej ręki, czasem nawet czytam dedykacje, niekiedy zastanawiam się, jaką drogę przebyła książka, zanim znalazła się na mojej półce.

Spojrzałam na datę wydania i marszcząc brwi, z trudem odcyfrowałam rok zapisany cyframi rzymskimi. Była o rok starsza ode mnie. Pełna bezcennej, potrzebnej mi wiedzy, nie znalazła przyjaciół w swojej macierzystej bibliotece, dzięki czemu trafiła do mnie. Może potencjalnych czytelników trochę przerażał tytuł: *Proceder podróży i życia mego awantur*? Nie zachęcało być może nic nie mówiące nazwisko autorki – Regina Salomea z Rusieckich Pilsztynowa. Problemem wreszcie mógł być język, jakim się posługiwała, bo również wymagał literackiego wyrobienia, cierpliwości i obycia z epoką.

Świat, o którym opowiadała Pilsztynowa, przeminął dawno temu, ludzie już dawno pomarli, ale jednak ożywali za każdym razem, kiedy ktoś wypożyczał książkę wydaną w czasach, kiedy wartość książki była ważniejsza od ilości potencjalnych nabywców.

Po pobieżnym przejrzeniu odłożyłam lekturę mojego nabytku na stosowniejszą chwilę. Kiedy jednak kilka dni później wybierałam się w podróż, sięgnęłam po książkę z nadzieją na pożyteczną lekturę.

Początkowo nic nie zapowiadało tego, co miało nastąpić. W przedziale jechało wraz ze mną dwoje pasażerów. Siwowłosa pani siedziała przy oknie naprzeciwko mnie i czytała książkę. Obie byłyśmy zajęte i żadna z nas nie próbowała nawiązać rozmowy. Za oknem płynęły wiosenne krajobrazy. Raz po raz któraś z nas podnosiła wzrok, zachwycając się młodą zielenią, obsypanymi białym kwieciami drzewami owocowymi i ogromnymi połaciami żółci tam, gdzie właśnie kwitł rzepak. Wraz z osiemnastowieczną lekarką Salomeą, nie wysiadając z jadącego przez Polskę pociągu, podróżowałam aż do Turcji i uczestniczyłam w nieprawdopodobnych, choć mających kiedyś miejsce przygodach.

Gdy jednak dotarłam do strony 33, znalazłam w książce złożoną na pół kartkę papieru listowego. Niebieska, z wydrukowanym w rogu bukiecikiem fiołków, zapisana drobnym, równym pismem, oderwała mnie od lektury wspomnień. Natychmiast przebiegłam list wzrokiem.

Drogi Janie,

decyzja zapadła. Tak! Nie będę się więcej zastanawiać. We wtorek, kiedy tylko mój mąż wyjdzie do pracy, spakuję walizkę, wsiądę w autobus i przyjadę do Ciebie. Zwlekałam już zbyt długo, ale sprawy się wciąż komplikowały. Mam nadzieję, że mi wybaczysz i zrozumiesz, bo będziemy musieli jak najszybciej wyjechać z miasta. Nikt nie może wiedzieć, dokąd. On jest szalony i gdyby się tylko dowiedział, z pewnością zrobiłby coś strasznego. Czuję, że już teraz mnie podejrzewa, stąd ta pośpieszna decyzja. Patrząc na domowe sprzęty i jest mi trochę smutno. Zostawiam tu część mojego serca. Ale większa część z radością czeka na Ciebie. Wiem, że jeśli tylko uda nam się uciec dostatecznie daleko, będziemy szczęśliwi! Drzę z niecierpliwości i radości, że już wkrótce na zawsze będziemy razem.

*Czekaj na mnie,
Twoja Maria*



W ciągu kilku chwil potrzebnych na lekturę Sambu, harem sułtana i problemy polskiej lekarki stały się nagle mało istotne. Zawsze mogłam przecież do nich wrócić. Odruchowo spojrzałam na stempel biblioteki i z żalem stwierdziłam, że nie jadę w tamtym kierunku. Najchętniej już teraz, zaraz, chciałabym się dowiedzieć, jak potoczyły się dalsze losy zakochanych, którzy na dodatek, chcąc się połączyć, musieli zrujnować cudze szczęście. Jak mógł mieć na imię porywczy mąż? W myślach nazwałam go Witoldem i już snułam w głowie rozmaite dalsze ciągi, aż pociąg zatrzymał się na jakiejś niewielkiej stacji. Spojrzałam w okno i przyszło mi do głowy pytanie: w jaki sposób list znalazł się w książce? Kto go tam włożył i kiedy?

Szybko wyjęłam z torebki telefon i na moim koncie Allegro sprawdziłam, kto sprzedał mi książkę o przygodach osiemnastowiecznej lekarki. Zanotowałam na wszelki wypadek imię i nazwisko, a potem napisałam do biblioteki mail z pytaniem, kiedy ostatnio sprzedawali książki wycofane z wypożyczalni.

List nie był datowany, zatem nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy kartkę włożono przed sprzedaż, kiedy książka była jeszcze wypożyczana, czy też później. Coś mi jednak mówiło, że stało się to zanim wspomnienia opuściły bibliotekę w P., bo papier mocno pożółkł, a atrament wyblakł.

Podniecona odkryciem, myślałam tylko o Marii i Janie. Które z nich włożyło list do książki? W jakich to się stało okolicznościach? Czy wiadomość dotarła, a ucieczka się powiodła? Czy zacierając za sobą wszystkie ślady, wyjechali i zamieszkali razem gdzieś w odległym mieście? Czy udało im się rozpocząć wszystko od nowa? Zapomnieć dawne życie? Ile mieli lat, kiedy wymieniali korespondencję? W jakich okolicznościach się poznali? Co sprawiło, że poczuli się zakochani?

Obracałam w dłoniach wyblakłą kartkę listu i popatrując w okno, mnożyłam pytania bez odpowiedzi. Trochę zła na boha-

terów rodzącej się opowieści, zastanawiałam się, jak można było włożyć tak ważny list do książki? Przecież to wielka nieostrożność! Jednak może był w tym jakiś sens? Zakładałam, że list dotarł do adresata i był już tylko pamiątką romantycznego ukoronowania miłości, ale przecież nie musiało tak być! Kto wie, czy Maria, pisząc list, nie usłyszała przypadkiem kroków lub głosu męża i aby ukryć swój zamiar, wsunęła liścik pomiędzy stronicę pierwszej lepszej leżącej obok książki. Może stało się coś, co przeszkodziło jego wyjęciu. Ktoś ją zawołał, odeszła od biurka lub stolika, ktoś potem zabrał książkę, oddał ją do wypożyczalni. Może nigdy nie udało jej się go wysłać?

Zatem nie uciekła i wciąż mieszka w P. z niekochanym mężem? Nagle zrozumiałam, że zanim wysłała list, Maria mogła zmienić zdanie. Nie pisze w liście o wyrzutach sumienia, ale jako wrażliwa osoba z pewnością je odczuwała. Czyżby wolała skazać na męki siebie i Jana, a Witolda pozostawić w błogiej nieświadomości?

Co mógł zrobić takiego, że zmieniła zdanie? A jeśli zmieniła, to dlaczego nie zniszczyła listu? Skoro tkwił on wciąż na 33 stronie książki, być może nikt od tamtej pory do niej nie zaglądał. Dlatego zapewne ją sprzedano. I teraz wraz ze skrywaną w swym wnętrzu tajemnicą, niczym posłaniec, trafiła do mnie.

„Habent sua fata libelli!” – pomyślałam z westchnieniem.

Nie wiadomo kiedy, minęły ponad dwie godziny podróży. Wstałam, aby rozprostować nogi i wypić w wagonie barowym szybką kawę. Niedługo dojadę do stacji przesiadkowej, w pociągu podmiejskim nie będzie takich luksusów. Moja towarzysząca podróż z dłońmi na zamkniętej książce wyglądała przez okno.

– Czy zechciałaby pani spojrzeć na mój bagaż? – zapytałam.

– Naturalnie – odparła z uśmiechem.

– Może coś dla pani przynieść z baru? – chciałam się zrewanżować.

– Dziękuję – zaprzeczyła ruchem głowy.



Po tej wymianie uprzejmości wyszłam z przedziału. Gorące espresso spełniło swoje zadanie. Znow poczułam się rześko. Myśląc o Janie i Marii, próbowałam odpowiedzieć na piętrzące mi się w głowie pytania. Pociąg dojeżdżał do celu. Starsza pani wstała, sięgając po walizkę. Pomogłam jej i sama również spakowałam swoje rzeczy. Wsiadaliśmy w P., na peronie, kiwnąwszy sobie głowami, poszliśmy każda w innym kierunku.

Śpieszyłam się, za kilkanaście minut miałam kolejny pociąg. Dworzec był zatłoczony, nie potrafiłam znaleźć informacji. Wreszcie dotarłam do podstawionego już składu. Wyrzałam przez okno i ze zdziwieniem zauważyłam, że na sąsiednim peronie, mocno pochylona nad jakąś kartką, siedzi na ławce moja towarzyszka podróży. Czyżby również czekała na połączenie? Może ma tam zapisany adres lub kolejność przesiadek?

Nagle czułam gestem starsza pani przyłożyła tę kartkę do piersi i niewidzącym wzrokiem powiodła po peronie. Chyba nie zauważyła mnie w oknie pociągu, schowała kartkę do torebki, wstała i pociągnęła walizkę w kierunku windy. Widziałam ją jeszcze, kiedy wsiadała, potem straciłam ją z oczu.

Przedemną była znow ponad godzinna podróż, sięgnęłam więc do książki. Ale jakoś nie potrafiłam się skupić. Chciałam jeszcze raz przeczytać list Marii do Jana. Wydawało mi się, że włożyłam go na początku wspomnień Pilsztynowej, na stronie tytułowej, ale go tam nie było. Zaczęłam przerzucać strony. Bez skutku. Co mogłam z nim zrobić? Czyżbym go wsunęła głębiej? Odwróciłam książkę grzbietem do góry, licząc na to, że kartka wypadnie, ale nie wypadła. Przekręciłam każdą z kartek i przekonałam się, że listu w książce nie ma. Co się mogło z nim stać?!

I wtedy przypomniał mi się czuły gest siedzącej na przeciwnym peronie towarzyszki podróży. Czyżby trzymała w dłoni swój własny, nigdy niewysłany list? Popatrzyłam jeszcze raz na książkę – skrzynkę pocztową, która przechowała list świadczący o niezapomnianej miłości. Pogłodziłam ją po wyblakłej okładce i wróciłam do lektury.



Z OKAZJI 80ciolecia
KSIĄŻNICY PŁOCKIEJ
Tomek Ceriniah
Rafał Skarżyński



Radosław Lewandowski

Stażysta

Budzik zadzwonił jak zwykle za wcześnie. Moja dłoń, niczym żmija sykliwa, dziobnęła prostokątny przycisk i znowu było cicho. Świadomość przyszła później.

Przez kilka chwil czułem, jak serce trzepoce się w piersiach. Cholesteryna adrenalina, kiedyś mnie wykończy.

To miał być pierwszy dzień stażu, więc zrezygnowałem z pięciu minut poleżenia. Tego by brakowało, żebym właśnie dzisiaj się spóźnił. Nie to, żebym mógł to zrobić jutro, ale babcia zawsze mówiła, że najważniejszy jest początek i koniec, więc przynajmniej połowę chciałem zrobić dobrze.

W bibliotece przy ulicy Kościuszki zjawiłem się dziesięć po dziewiątej. I to naprawdę nie była moja wina. Najpierw przygotowaną na ten dzień koszulę polałem kawą. Potem spotkałem kumpla z podstawówki, miał ksywę Kołowrót i w pełni na nią zasługiwał. Przez jego gadulstwo uciekł mi autobus, a ten, do którego później wsiadłem, miał zepsuty biletomat. Zanim zrozumiałem, że to z nim jest źle, a nie ze mną i ruszyłem, by kupić bilet u kierowcy, wsiadły dwie miłe panie.

Ile to ja się natłumaczyłem, że właśnie, że zepsuty i nawet karty nie przyjmował, że nie miałem zamiaru bez biletu... Po moim bezowocnym buncie zostałem w końcu spisany. Może normalnemu człowiekowi trudno w to uwierzyć, ale znowu pech i wysiadłem przez to wszystko o jeden przystanek za daleko. Potem z buta i spóźnienie o dziesięć minut można w tej sytuacji uznać za mistrzostwo świata.

Miła pani kierowniczką przyjęła mnie z uśmiechem, wymownie jednak patrząc na zegarek. Nie chciałem już jej opowiadać, że kawa, potem Kołowrót, kanary i te sprawy. Ja sam w to wierzyłem tylko dlatego, że byłem niejako naocznym świadkiem. Więc wałną-

łem prosto z mostu, że gdy wychodziłem, mój pies tak bardzo chciał się pożegnać, że nie wyrobił na zakręcie w przedpokoju, wbił się w starą komodę, a ta zawaliła się na biedaka i zdechł.

– To masz psa? – zapytała miła kierowniczką.

– W zasadzie to już nie – odburknąłem skruszony.

– A jakieś inne zwierzątko?

Gdybym powiedział jej, że młodszego brata, pewnie by mnie pogoniła, więc tylko pokręciłem głową.

– No, to jutro widzimy się o dziewiątej. Chodź, oprowadzę cię po bibliotece. – Bezceremonialnie wzięła mnie pod ramię i ruszyliśmy. W tej głównej sali czuć było specyficzną mieszaninę zapachów: papieru, farby drukarskiej i jakiegoś środka do mycia podłóg. Kichnąłem.

– Uczulony na kurz? – Wyglądała na autentycznie zaniepokojoną. – Bo wiesz, kolego, akurat tego u nas nie brakuje.

– Nic mi o tym nie wiadomo, psze pani. – Próbowałem delikatnie wyswobodzić ramię z uścisku, ale równie dobrze i z podobnym skutkiem pechowy surfer wyrывa rękę z uścisku szczęk żarłacza błękitnego.

– To dobrze, kochanieńki, to dobrze. Mów do mnie pani Mario. – I zaczęła monotonnym głosem:

– Pierwsze kościelne zapiski o bibliotece w Płocku sięgają naszej katedry i XI wieku. Ale prawdziwa biblioteka publiczna powstała dopiero w 1906 roku w domu księgarza Stanisława Betleja. Ten gmach, który obecnie zajmujemy, Książnica przejęła stosunkowo niedawno. Zbudowano go na potrzeby Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Głos pani kierowniczki to cichł, to narastał niby szum wiatru. Ja się po prostu wyłączyłem. Spacerowaliśmy wąskimi alejkami pomiędzy rządami regałów i nie wiedzieć czemu, próbowałem sobie wyobrazić, jak tu musi być nocą. Wysokie, niby w jakimś pałacu okna, wpuszczały dużo światła, ale kto wie, co snuje się po opuszczonych korytarzach, gdy nie ma tu ludzi?



– Czy ty mnie słuchasz, młody człowieku? – Jedno, czego nie można mi odmówić, to refleks.

– Oczywiście, psze pani. Zastanawiam się tylko, co oznaczają te sygnatury. – Musnąłem palcami grzbiety najbliższych książek.

– No tak, o tym też miałam wspomnieć. – Uff. Znowu zacząłem normalnie oddychać. – Bo widzisz, masz tu numer katalogowy, w nawiasie gatunek literacki...

– Czyli jak S, to seks, a F – literatura faktu? – Tym razem postanowiłem być uważny i dociekliwy. A niech tam, może po stażu pojawi się szansa na pracę? Zawsze dużo czytałem i wiedziałem, choć sam nie wiem skąd, że moje dorosłe życie związane będzie z książkami.

– S młodzieńcze to kryminały, horrory i... sensacja, a...

– To jak chlebak w wojsku. Jak sama nazwa wskazuje, służy do noszenia granatów – zabłysnąłem razowym dowcipem.

– A mama nie uczyła, by nie przerywać rozmówcy w pół zdania?

– Przepraszam, tak tylko.

– No. Nic się nie stało. Udajmy, że dopiero się spotkaliśmy, taki nowy początek. – Błysnęła w uśmiechu zębami.

– I znowu będę musiał słuchać o tym Betleyu i Towarzystwie Kredytowym?

– Oczywiście, że nie. Najlepiej od razu wskażę ci nowe obowiązki. – Niedawny uśmiech był ledwie wspomnieniem.

Sternik naszego dwuosobowego okrętu, czyli pani kierowniczka Maria, skręcił za szeroką ladę i znaleźliśmy się na zapleczu biblioteki. Jak sala główna była jasna i przestronna, tak tu panowało wrażenie, od którego przebiegły mi po plecach ciarki. Kocham horrory, uwielbiam takie klimaty. Od razu wyobraziłem sobie grasujące w półmroku wilkołaki. Z moją wyobraźnią niewiele było trzeba, by poczuć, jak jeden z nich właśnie puszcza moją rękę.

– To będzie twoje biurko... Właściwie, to jak ty masz na imię?

– Krzysiek, psze pani... to znaczy, pani Mario.

– No to Krzysiu, usiądź. – Wskazała na stare krzesło, które na moje oko miało setki lat. Bezwiednie szukałem wykrojonej w kształt pośladków dziury, pod którą można by podstawić pański nocnik. – Tu masz – przesunęła w moją stronę stertę dokumentów – regulamin wypożyczalni i katalog książek. Do końca dnia z tego pierwszego cię odpytam. Próbuj też, posiłkując się katalogiem, odszukiwać konkretne pozycje na półkach. To od jutra będzie twoja praca – odkładanie książek na miejsce.

Otworzyłem opasłe tomisko na ostatniej zapisanej stronie. Pod numerem osiemdziesiąt siedem tysięcy jeden widniała u jej dołu pozycja zatytułowana *Ostatnia wizyta*, autor Jacek Ostrowski.

– To nie macie tu komputerów? – zapytałem naiwnie.

– A wolałbyś chodzić z pecetem?

– No nie, ale z laptopem już mógłbym. Przecież ja tej księgi nawet nie udźwignę.

– Poradzisz sobie. A teraz wybac, rano mamy zawsze wiele pracy. Gdyby coś, poproś mnie lub którąś z koleżanek o pomoc. – Odwróciła się, by odejść. – Aha, Krzysiu, ważna sprawa. Widzisz te drzwi po prawej stronie?

– Te z wielką kłódką? Oczywiście, psze pani. – Patrzyłem na łukowo zakończone drewniane połącze. Wszystko byłoby z nimi w porządku, gdyby nie rozmiar. Zachowując proporcję, zwyczajnie były dziwnie małe.

– To przejście do zabytkowej części naszego księgozbioru. Jako stażysta nie masz i nie będziesz miał dostępu do tego działu biblioteki. Ale reszta, łącznie z niewielkim pokojem socjalnym, gdzie możesz zjeść śniadanie i zrobić sobie kawę, jest do twojej dyspozycji.

Zostałem sam. Może to i dobrze, bowiem limit wpadek na jeden dzień już dawno wyczerpałem. Jak tak dalej pójdzie, nie tylko nie dostanę po stażu pracy, ale i go nie ukończę.

Gdzieś z oddali dało się słyszeć śmiech, zaczęli pojawiać się



czytelnicy. Ale ja przy moim starym, obdrapanym biurku czułem się jakbym był w innym, mroczniejszym świecie. Próbowiałem uczyć się tego regulaminu, ale po pierwszym przeczytaniu miałem dość. Nie mogłem się skupić. Gdybym nie wiedział o zakazanej strefie, wszystko byłoby normalnie. Ale sama świadomość, że mam pod boki zamknięte przejście prowadzące sam nie wiem gdzie, rozpałała ciekawość i wyobraźnię.

Jako dziecko i młody człowiek, nie to żebym teraz był już stary, miałem ciągłe problemy z nauką. Nie byłem skończonym osłem, ale tak dużo czytałem, że na matkę i fizę brakowało czasu. Zdesperowany tata, po kolejnej wybuchowej wywiadówce, dorobił do naszej domowej biblioteki dodatkowe zamki. Przeboleałbym tę stratę, przecież są jeszcze księgarnie i biblioteki publiczne, ale zaaresztowany został również mój komputer. A to nie były już przelewki. Wiele dni rozpracowywałem mechanizmy zamków i kłódek, dorabiałem wytrychy, aż nauczyłem się wchodzić tam niepostrzeżenie. Jak widać, człowiek nigdy nie wie, gdzie mu się przydadzą nabyte w dzieciństwie umiejętności.

Wielka, stara i nieco zardzewiała kłódka poddała się woli mojego szczyryka po dwóch minutach, zamek po kolejnych czterech. Chwilę nasłuchiwałem, czy nie idzie ktoś z personelu biblioteki, a potem pchnąłem drzwi. Ku mojemu zdziwieniu zawiasy były świeżo nasmarowane i nie usłyszałem wyczekiwanego skrzypienia. Serce waliło mi niczym młot i zaczęło się dziać coś dziwnego z moim brzuchem. To nerwy, baranie, uspokój się – mówiłem do siebie w myślach. Jeszcze chwila nasłuchiwania i schylony w pół wszedłem do środka. Wyglądało to tak, jakbym się kłaniał. Zaraz też przymknąłem dziwnie małe drzwi. Może jak ktoś przyjdzie zobaczyć, co robię, nie zaalarmuje go brak kłódki?

Było ciemno. Zapaliłem latarkę w telefonie, ale powietrze zdawało się wchłaniać światło i nie widziałem dalej niż na wyciągnięcie ręki. Ku mojemu zdziwieniu pomieszczenie wydawało się puste. Krzyknąłem cicho i usłyszałem odległe echo. Ten pokój musiał być... ogromny. Ale przecież nie mógł taki być! To nie jakieś

tajemnicze podziemne katakumby, a budynek w samym środku płockiej starówki!

Ruszyłem przed siebie, licząc kroki w przekonaniu, że nie długo dotrę do przeciwległej ściany. To ta cholerna wszechogarniająca ciemność, robi ci, Krzysiu, wodę z mózgu – szeptałem. Gdy odliczyłem do czterdziestu i dalej nic, ciarki mi przebiegły po plecach. Kolejne dziesięć kroków i już miałem zawracać, gdy światło latarki wyłowiło coś z mroku. Niemal w tym samym momencie dotknąłem tego palcami wyciągniętej dłoni.

Ostrożnie zbliżyłem się do leżącej na podłodze sterty kilkunastu książek. Byłem rozczarowany. Tyle zachodu, wielka ukryta sala, ciemność i ciary, i to wszystko, by znaleźć jakąś makulaturę? A coś ty myślał chłopie, przecież jesteś w bibliotece – odpowiedział mój zdrowy rozsądek. Przyjaciół, który był bardziej gościem niż domownikiem w mojej głowie.

Obszedłem znalezisko, ale nie odkryłem niczego niezwykłego. Na wierzchu leżała, sądząc po kolorach okładki, niezbyt stara pozycja. Zrezygnowany, szykując się do powrotu, wziąłem ją w dłoń.

– *Wikingowie. Topory i sejmitary* – głośno przeczytałem tytuł. Nazwisko autora nic mi nie mówiło, ale grafik wykonał kawał porządnej roboty. Bezwiednie otworzyłem książkę na chybił trafił.

– Ruszaj się, psie, równo ciągnij wiosło. – Cichy świst i poczułem, jakby plecy poraził mi prąd. Ze zdziwieniem spojrzałem na swoje poznaczone bliznami ręce, które zaciskały się na drewnianej belce. Wokół panował półmrok i smród, jaki można poczuć w zaniedbanej publicznej toalecie.

Gość, który przed chwilą darł japę, minął mnie i właśnie z pejczem w dłoni wyżywał się nad innym nieszczęśnikiem. Gdzie ja jestem, co... Rozejrzałem się dookoła.

Siedziałem na drewnianej ławie, jednej z wielu usytuowa-



nych w dwóch rzędach pod ścianami wielkiej prostokątnej drewnianej skrzyni. Przed sobą miałem spocone plecy trzech półnagich ludzi. Poruszali się we wspólnym wysiłku, pobrzękując łańcuchami. Dopiero teraz zauważyłem na mojej – nie mojej prawej kostce metalową obręcz. Wpadłem w panikę.

– Ciągnij równomiernie, gównojadzie, bo jak zgubimy rytm, wszystkim nam się dostanie. – Siedzący po mojej prawej olbrzym wyszczerzył kikuty połamanych zębów. – A jak tak będzie, wieczorem skrucę ci kark.

– Odczep się, człowieku – burknąłem nieswoim, zdartym głosem.

– On to robi. – Niewysoki, czarnowłosa mężczyzna po mojej lewej mówił takim tonem, jakby obwieszczał, że po nocy zawsze przychodzi dzień. – Co ci się nagle stało? Wcześniej byłeś jak jeden z nas.

– Co mi się...? A gdzie ja w ogóle jestem? – Wpadłem w rytm i zacząłem wiosłować, co olbrzym skwitował zadowolonym pomrukiem.

– Jak to gdzie? W tym samym gównianym, zapomnianym przez boga miejscu co wczoraj i dziesięć dni temu. Na galerze, chłopie, jak my wszyscy. – Niewysoki wskazał głową na pochylające się w znojemym rytmie plecy towarzyszy.

Dalszą rozmowę przerwał gość z pejczem.

– Przyspieszamy, gównojady! Przygotować się do taranowania! Nie muszę wam mówić, co was spotka, gdy odbijemy się od wrogiego statku zamiast postać go na dno? Zwiększyć tempo! Przyspieszamy!

Równomierne uderzenia bębna zwiększyły częstotliwość. Chciałem krzyczeć, że to pomyłka i nie wiem, co robię wśród tych nagich ludzi, ale ciągnięcie tak wielkiego wiosła szybko odbiera ochotę na gadki, a potem oddech. To sen, to tylko sen – powtarzałem sobie w myślach. – Zaskodził mi kurz w bibliotece albo sam nie wiem co.

Niespodziewane uderzenie wyrwało mi drzewce z rąk, podobnie jak towarzyszom mojej niedoli. Po przeciwnej stronie naszej galery wielki, miedziany taran w kształcie baraniej głowy rozdzierał właśnie poszycie statku, miażdżąc siedzących najbliżej ludzi.

– Szczęściarze – warknął mój mniejszy towarzysz i zaraz piskliwie dodał – Niech Wszechmocny Allach ma nas w opiece.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co miał na myśli. Przez wielką dziurę woda z szumem wlewała się do środka. Okręt położył się na burtę. Tonął. Jak i wielu innych, i mnie ogarnęła panika. Chciałem wyjść na zewnątrz, za wszelką cenę chciałem się wydostać. I jak wszystkich pozostałych, zatrzymał mnie łańcuch, którym przykuto mnie do biegnącej wzdłuż ław solidnej belki. Szarpałem, nie zważając, że obręcz tnie mi ciało. Szarpałem, gdy trzasnęła kość i gdybym miał nóż w ręku, pomimo potwornego bólu, przeciąłbym mocne ścięgna. Przerazenie robi z człowiekiem dziwne rzeczy. Krzyczałem, a właściwie wyłem, dopóki słona woda nie zalała mi ust.

W idącym na dno statku tylko nieliczni rzucali się jeszcze niby ryby na haczyku. Większość unosiła się bezwładnie na krótkich smyczach swoich łańcuchów. I wtedy zrozumiałem, co miał na myśli towarzysz mojej niedoli, nazywając tych, którzy zginęli pierwsi, szczęściarzami.

I ja w końcu nabrałem w płuca wody.

Stałem nad stertą książek i cały się trząsałem. Oddychałem i pierwsze hausty powietrza sprawiły mi ból, jakbym faktycznie zatonął razem z pozostałymi galernikami. A potem nadeszła ulga. Po twarzy pociekły mi łzy. Nigdy nie sądziłem, że tak bardzo będę się cieszył z tego, że żyję. Tak zwyczajnie, po prostu. Niekiedy coś podobnego odczuwa człowiek, budzący się z koszmaru. Ale to jest tylko błąd cię tego, co dopadło mnie. To wszystko było tak realne, tak cholernie realne...



Uważając, by przypadkiem nie dotknąć kolejnej książki z tej dziwnej sterty, ruszyłem na drżących nogach z powrotem. Po pięćdziesięciu starannie odliczonych krokach dotarłem do czegoś. Jakie jednak było moje zdziwienie, gdy okazało się, że stoję przed tym samym stosem książek. No, może nie do końca takim samym, bowiem kolorowa okładka z brodatym wikingiem leżała na drewnianej zakurzonej podłodze, dając początek nowej stercie. Nie czułem pragnienia ani głodu, ale w mojej głowie pojawiło się przekonanie, że każdą z tych książek muszę wziąć do ręki, otworzyć i przeżyć. Gdy to się stanie, będę wolny. I choćby miało mi to zająć milion lat, nie ma odwrotu. Żyjąc z wewnętrznym przekonaniem, że moja przyszłość związana jest z książkami, przez myśl mi nie przeszło coś tak absurdalnego. A jednak.

Zrezygnowany poświęciłem na kolejną, leżącą teraz na wierzchu stosiku okładkę. Widniał na niej biały wieloryb, a litery układały się w nazwę *Moby Dick*. Od razu stanął mi przed oczami marny koniec kapitana Ahaba i jego okrętu Pequod.

Z niepokojem spojrzałem na kolejną, leżącą pod spodem książkę. Widząc gwiazdozbiory i potężne kosmiczne krążowniki, odetchnąłem z ulgą. Prawdę mówiąc, nie bardzo lubię wodę. A właściwie po tym ostatnim to jej bardzo nie lubię. Przymknąłem oczy i otworzyłem na przypadkowej stronie powieść Hermana Melville'a. Los chciał, że były to jej początkowe karty.

Płynąłem. Byłem ranny i wściekły. Nie bardzo mogłem jasno myśleć, ból w okolicy serca był coraz bardziej dokuczliwy. Szukałem przeciwnika, chciałem go jeszcze raz zabić za to, co mi zrobił, połamać, zmiażdżyć...

Długo już wstrzymywałem oddech, ruszyłem więc ku powierzchni. Z mojego grzbietu uniosła się w górę fontanna wody.

Właśnie w tym momencie, pod wpływem tego ruchu, ostrze

wbitego w ciało harpuna dotarło do serca. Moją wielką tuszą szarpnięto, budząc małe fale i płosząc przepływającą obok ławicę śledzi.

Znowu stałem, trzęsąc się nad okazałym stosikiem książek. Tak długo byłem królem oceanów, że padłem jak długi, zapominając do czego służą nogi. To znaczy niby dobrze wiedziałem, ale w moim umyśle ciągle byłem unoszonym przez wodę wielorybem. Powietrze nie daje takiego komfortu. Zebrałem się i stanąłem najpierw na czworaka, potem niepewnie na nogach. Ludzkie myśli powoli odbudowywały ścieżki w mojej głowie. To musiało trwać lata – szepnąłem z trudem, zmuszając do pracy własne usta.

Tu w bibliotece czas jakby stanął w miejscu. Byłem niemal pewien, że gdy wszystko się skończy i wyjdę przez niskie drzwi na zewnątrz, zastanę tam moje stare, obdrapane biurko i chybotałe krzesło, katalog książek i regulamin wypożyczeń. Mało tego, to będzie ciągle ten sam poniedziałkowy poranek, pierwszy dzień mojego stażu. Tylko ja będę inny, szalony.



Ewa Nowak

Cztery ulice dalej

Książnicy Płockiej – z życzeniami spełnienia marzeń z okazji osiemdziesiątych urodzin.

Monika Konstańska miała mamę, która wyglądała jak aktorka. Mama Asi Guberskiej grała na fortepianie, mama Asi Dyner piekła kruche ciastka w kształcie wiewiórek i można było ich zjeść, ile się chciało. Moja mama była najlepsza. Gdy byłam chora, grała w chińczyka na kołdrze, czytała mi na głos *Sarenki babci Klary* i obierała jabłka na cząstki. Gdy wyniosłam z domu sześć kompletów srebrnych sztućców, którymi całe podwórko bawiło się w restaurację, kazała mi tylko więcej ich nie wynosić. Gdy pierwszego września potknęłam się przy wskakiwaniu na murek i podarłam białe rajstopy, a potem zaczęłam o krzak i podarłam następne, mama mnie nawet nie skrzyczała.

Byłam dzieckiem wypuszczanym na podwórko. Mamy szczęściary, które miały okna wychodzące na właściwą stronę, wypuszczały swoje dzieci, czasem nawet już trzyletnie. Ja miałam starszego brata, więc pewnie po raz pierwszy zostałam „wypuszczona” jeszcze w wózku, zanim zaczęłam porządnie chodzić.

Tego dnia była rozkoszna pogoda, a mama musiała zrobić pranie, odkurzyć, uprasować, zacerować, zrobić domową hennę i wybrać sukienkę na jutro, bo jechaliśmy do babci na pierogi z wiśniami. Miała huk roboty, a szkoda dzieci trzymać w domu w taki upał. Dlatego mieliśmy grzecznie bawić się na podwórku.

Piotrek bawił się z chłopakami w amerykańskich szpiegów, ja waliłam nogami o metalową zjeżdżalnię – razem z całą masą moich najlepszych przyjaciół z podwórka.

Gdy po jakimś czasie mama zawołała: „Ewa, Piotrek!” – do domu wrócił tylko mój brat. Ja też bym wróciła, ale zapomniałam, że istnieje coś takiego jak dom, a nawet, że istnieje najlepsza na

świecie nasza mama. Wszystko przez mamę Bodzak, a raczej przez raj cztery ulice dalej.

Małgosia Bodzak była jedynaczką. Miała niepracującą mamę i nigdy nie wychodziła na podwórko sama, tylko z rodzicami na spacer. Dla dzieciaków była dziwadłem, z którego obowiązkowo trzeba się wyśmiewać. Nasza mama była nauczycielką i nie pozwalała nikogo wyśmiewać. Chociaż, przyznaję, kusiło mnie wiele razy, nie wyśmiewałam Małgosi i pewnie dlatego tylko ja jedna z całego podwórka chodziłam do Bodzków w czasie deszczu, żeby się bawić. Bawiłyśmy się, chociaż nigdy tak dziko, jak wolno było w moim domu. Nie rozumiałam wtedy, dlaczego mama Bodzak nie pozwalała robić lasu z kwiatów doniczkowych. Bo niby jak miałyśmy się bawić w Ronję, córkę zbójnika? Rodzice Małgosi nigdy nie pozwalali, żebyśmy bawiły się przy zamkniętych drzwiach, a po mojej wizycie zawsze przychodziła pani do sprzątanía. Zapraszali mnie jednak mimo wszystko, bo mnie potrzebowali. Nie miałam wtedy pojęcia, że Bodzakowie nie są żadnym wyjątkiem. Wielu rodziców jedynaków musi jakoś organizować tymczasowe rodzeństwo dla swoich dzieci. Ja byłam właśnie kimś takim dla Małgosi. Zabierali mnie jako atrakcję dla wiecznie znudzonej wszystkim córki. A to do kwiaciarni po pierwsze bzy, a to na spacer do lodziarni, a to do kina na Bolka i Lolka.

Byłam mądrym, odpowiedzialnym i rozważnym dzieckiem, więc wiedziałam, że gdy się do kogoś idzie, trzeba o tym powiedzieć. Poszukałam wzrokiem Piotrka, wrzasnęłam w jego stronę, że idę z Bodzakami i w podskokach, podciągając zrolowane nad kostkami podkolanówki, poleciałam, gdzie mnie poprowadzili.

Wielu ludzi marzy o tym, żeby odnaleźć drogę do raj. Jacy niemądrzy! Wystarczyło przecież tylko iść z Bodzakami. Cztery ulice od nas był raj. Sukna były różowe i można było ślizgać się przez całą długość korytarza. Książki leżały na półkach, a mała jak laleczka pani bibliotekarka – z garbem, który z miejsca mnie zafascynował i okularami tak grubymi, że miała oczy wielkości garnka do gotowania



kaszy – pozwoliła położyć się na twardym, plastikowym dywanie. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęła nam czytać na głos. Minutę później razem z Małgosią przeżywałyśmy nocny dramat zabawek Doroty, potem tragiczne losy królowny Apolejki, której królewicz był ośłem, a ona mimo wszystko się w nim zakochała.

Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego mama Bodzak dziękuje, bierze Małgosię za rączkę i mówi cioci Wandzi „do widzenia”. Chce tak po prostu wyjść z raju? Trudno. Niech idzie. Ja zapewniłam wszystkich, że mogę jeszcze zostać.

Zostałam aż do momentu, gdy ciocia Wandzia kategorycznie kazała mi już wracać do domu. W podskokach, dzierżąc w szczęśliwej łapince druczek, żeby się do raju na stałe zapisać, wpadłam do domu. Jak siebie pamiętam, zapewne od progu zaczęłam wrzeszczeć na wszystkie tematy jednocześnie. Trzymanie emocji na wodzy nie było już wtedy moją mocną stroną. I tu stało się coś najdziwniejszego na świecie. Jakaś pani, nawet podobna od naszej mamy i nawet w jej sukience, ale z dzikimi czerwonymi oczami, z potarganymi włosami i henną, która wyżarła brwi do żywego, na mój widok chwyciła z wieszaka niebieską skakankę i złożyła ją na cztery w celu oczywistym.

Nikt mnie nigdy nie bił. Brata oczywiście nie liczę, bo na tej zasadzie to on też był bity przeze mnie regularnie. Prawdziwe lanie znaliśmy tylko z przyśmietnikowych opowiadań innych dzieci albo z podsłuchiwania pod oknami Altachów, którzy co roku rodzili sobie nowe dziecko, żeby mieć więcej pup do bicia. Dlatego nie pomyślałam, że to ja mam dostać w skórę. Przecież nic złego nie zrobiłam.

Pani udająca naszą mamę wciąż trzymała skakankę. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że to niby ja zrobiłam coś złego, a konkretnie, nie powiedziałam, dokąd idę.

– To nieprawda! Powiedziałam przecież Piotrkowi, że idę z Bodzakami!

W przedpokoju zapadła cisza. Wszystkie muchy przysiadły na żyrandolu. Pralka Frania skończyła cykl. Mama nie mama wbiła

wzrok w mojego brata i ziemia zaczęła wirować w drugą stronę.

– Nic mi nie mówiła! – wrzasnął Piotrek.

– Powiedziałam!

– Nic nie słyszałem!

– To nie moja wina, że on jest głuchy jak ołówek. Mamo, słowo honoru, że mu krzyknęłam, a poza tym byliśmy przecież bardzo blisko, w tej nowej bibliotece! Tej, co mi pokazywałaś, że się buduje.

Mama nie mama popatrzyła na swoją wciąż przygotowaną do ciosu rękę i odwiesiła moją niebieską skakankę na wieszak w przedpokoju. Podrapałam się po strupie na kolanie i powiedziałam:

– Możesz mi się tu podpisać?

Podalam mamie druczek od cioci Wandzi i palcem pokazałam, gdzie ma się podpisać, żeby zwyczajem mam nie podpisała się w jakimś niedobrym miejscu.

Jedzenie i tak nie było gotowe, więc mama nie miała żadnych argumentów. Musiała się zgodzić, że polecę jeszcze szybciućko do biblioteki, bo ciocia Wandzia trzyma dla mnie taką książkę o psie Puku. Mój brat został wysłany ze mną w charakterze eskorty. Koń by się uśmieł, ale skoro mama tak się upierała, łaskawie się zgodziłam, żeby go ze sobą zabrać.

Trochę się ten nasz pobyt przedłużył. Po drodze zwerbowałam kogo się dało. Marcina Mierzwińskiego, który o laniu wiedział wszystko, Dorotę Marchewkę, której umarł żółw, Pawła Altacha, który miał sześcioro rodzeństwa, Agatę Bochman, co tak umiała wykręcać ręce, że nawet starsi się jej bali. W tamtych czasach oboje z bratem mieliśmy na osiedlu rozległe znajomości. Dzieliliśmy się więc ze znajomymi dobrą wiadomością, że otworzyli raj i to tylko cztery ulice dalej.

Wróciliśmy do domu pewnie po dobrych dwóch godzinach. Ja z *Pukiem*, a Piotrek z druczkiem od cioci Wandzi. Zaczął głuپیo się upierać, żeby mama mu podpisała, bo on musi odnieść go do biblioteki jeszcze dziś. Taki był zawsze ten mój brat, zazdrosny o wszystko.



Jacek Ostrowski

Skarb sekretarza

Za oknami było szaro i ponuro, ciemne, burzowe chmury zakryły niebo, porywisty wiatr szarpał okolicznym drzewami, a co i raz padający rzęsimy deszcz zmieniał okoliczne trawniki w wielkie polacie gąbczastej murawy. Termometr chyba zwariował, bo wskazywał ledwie kilka stopni powyżej zera. W tym roku to był codzienny widok, choć data w kalendarzu, 20 maja, wyraźnie klóciła się z faktami. Pogoda nie rozpieszczała nikogo, ale – jak mawiali synoptycy – żeby mogło nastąpić ocieplenie klimatu, najpierw musiało się oziębić i chyba teraz spełniało się to przekleństwo.

– Kiedy w końcu pójdziesz na rynek?! Że też mnie los pokarał takim nieudacznikiem życiowym. Inne potrafiły się ustawić, mają domy, limuzyny, a ja co mam? Męża niedorajdę, który zamiast zarabiać tak jak jego koledzy, siedzi w Książnicy i nic tam nie robi, no bo kto dziś czyta książki? Byłam młoda i głupia. Myślałam, że inteligent to mi życie na odpowiednim poziomie zapewni. Teraz wiedziałabym, co zrobić...

Marek nie czekał na ciąg dalszy wywodów Zenobii, w jedną rękę chwycił siatkę, w drugą portmonetkę i pośpiesznie opuścił mieszkanie. Na koniec trzasnął drzwiami, na tyle w tym domu jedynie mógł sobie pozwolić.

Było tuż po burzy, mokry trotuar, wielkie kałuże na jezdni. Idąc, trzeba było bardzo uważać, bo spod kół przejeżdżających pojazdów unosiły się wysokie ściany wody. Mężczyzna unikał zręcznie pułapek kapryśnej aury, niczym slalomista omijał kałuże i podążał w stronę targowiska przy ulicy Rembielińskiego. Dziś jest giełda staroci, ludzie sprzedają wszystko, co im w domu zawala, przy okazji warto tam pomyszkować. Może coś się trafi.

Chimeryczna pogoda widocznie skutecznie zniechęciła płoczan do odwiedzenia targowiska, bo giełda staroci świeciła pustkami. Zaledwie kilkunastu sprzedawców rozstawiło swoje kramy, wokół których krążyło kilku zainteresowanych, był wśród nich i Marek. Podchodził po kolei do każdego straganu, lustrował wystawione rzeczy. Czego tam nie było? Rowery dziecięce, zegary, garnki, suszarki do włosów, lustra, wózki, ubrania, a nawet sztuce. Jego interesowały jedynie książki. Nie było ich wiele i tylko na dwóch stoiskach. Pierwszy ze sprzedawców handlował romansami, na drugim stoisku odkrył nieduży zabrudzony kartonik zawierający prawdziwe skarby: lektury z czasów PRL-u, *Łuny w Bieszczadach* Jana Gerharda i *Samotny biały żagiel* Walentina Katajewa.

Markowi, bibliofilowi z zawodu jak i zamiłowania, serce natychmiast zabiło mocniej. Czy to sentyment do czasów młodości, czy zboczenie zawodowe, trudno powiedzieć. W każdym razie zapragnął kupić pudełko wraz z całą jego zawartością. Spojrzał nachalnie na właścicielkę, dziewczynę może dwudziestoletnią, bardziej zainteresowaną zawartością ekranu swojego smartfonu niż sprzedawanym towarem. Niechętnie oderwała wzrok od telefonu.

– Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam, ale na ile wycenia pani te książki?

– Które? Te kryminały? Wszystkie oddam za pięć dyszek, to tanio. Widzi pan, prawieówki.

– Nie, chodzi mi o te stare, zniszczone – wskazał palcem kartonik.

– O te śmieci? – zdziwiła się.

– Tak, w rzeczy samej, o nie chodzi.

– A ile pan da?

Dziewczyna wahała się.

– No nie wiem, proszę podać swoją cenę.

– Za wszystko dwadzieścia złotych, może być? – zaproponował nieśmiało.



– Zgoda.

Banknot dwudziestozłotowy zniknął w torebce sprzedającej i pudełko zmieniło właściciela. Marek był bardzo kontent z takiego obrotu sprawy. Już wiedział, jak spędzi najbliższe popołudnia.

Dochodziła godzina osiemnasta. Marek zszedł do piwnicy. Od lat to była jego oaza spokoju. Zapalił lampę, drewnianą skrzynkę po jabłkach przysunął do starego zdezelowanego biurka. Na jego blacie stało brudne pudełko. Mężczyzna zajrzał do środka. Były w nim trzy książki i jakiś brulion. Sięgnął po niego.

Trzymał w dłoni stary zeszyt może sześćdziesięciokartkowy w grubej, plastikowej, czarnej oprawie, okładka popękana, bardzo zniszczona, kartki brulionu pożółkłe ze starości, prawie całe zapisane drobnym, bardzo niestarannym pismem. W mig zorientował się, że to może być ciekawy materiał. Na pewno liczył sobie kilkadziesiąt lat, autor użył pióra i raczej nie wiecznego, bo kartki były co i raz zdobione dużymi kleksami. Na pierwszej stronie odczytał tytuł. Był dopisany później, od razu to poznał, bo użyto długopisu. Ten sam charakter pisma, więc ten sam autor. Ciężko byłoby znaleźć drugą osobę z tak niewyrobioną ręką. To były tylko dwa słowa, ale jakże znaczące w swojej wymowie...

Z podniecenia poczuł w kręgosłupie mrowienie, być może trzymał w dłoni prawdziwą literacką „bombę”. Drżącymi palcami zaczął kartkować zeszyt i szukać nazwiska autora, musiało gdzieś przecież być. Cholera, nie ma. Może na okładce. Tam była naklejka. Na pierwszy rzut oka była pusta, ale kiedy zbliżył pamiętnik do lampy, wtedy dojrzał ślady wyblakłego atramentu. To było imię i nazwisko. Niestety, były nieczytelne. Wrócił do treści brulionu.

Zaczynała się z datą 2 stycznia 1945 roku. Czytał z trudem, bardziej domyślał się liter niż je rozpoznawał.

...Mróz na dworze trzaskający, siedzimy na kwaterach, kozy rozgrzane do czerwoności i czekamy na rozkazy wymarszu. Dobrze, że dali nam dzień odpoczynku, bo łeb mi napierdala po wczorajszym bim-

brze, było go za dużo. Towarzysz komisarz miał urodziny i przyniósł kanister księżycówki, pochlaliśmy do nieprzytomności... Tak to na froncie wygląda, dziś nie żałować sobie niczego, bo jutra może nie być. Z naszego oddziału została już tylko połowa, jednego ukatrupił komisarz, bo chłopak nie wytrzymał i chciał wiać. Młody był, chciał do matki. Dostał kulkę w plecy, matkę spotka w zaświatach...

Było już po dziesiątej wieczór, kiedy Marek przerwał lekturę. Stare zapiski tak go pochłonięły, że zupełnie stracił rachubę czasu. W progu mieszkania przywitała go Zenobia. Rzuciła mu niewybredny epitet i poszła do kuchni.

Następnego dnia rano jeszcze przed śniadaniem wymknął się z mieszkania. Zjechał windą na dół i zszedł do piwnicy. Brulion wyciągnął ze skrytki, spod sterty starych ubrań. Otworzył go, przewrócił kilka kartek. Tak, to tu skończył.

24 stycznia 1945

Wczoraj złapaliśmy kilku żydków. Sukinsyny mieli przy sobie złoto i biżuterię, wszystko zaszyte w kapotach. Jak im się udało przeżyć? Pewnie ci bandyci z AK im pomogli, ale teraz opuściło ich szczęście. Komisarz się z nami podzielił uczciwie, a potem kazał ich rozwalić. Tośmy ich z pepesz ukatrupili. Miejscowi ich pochowają, powieździeliśmy im, że to bandyci. Czy uwierzyli? A mieli inne wyjście? Sami nie chcieli tak skończyć. Jutro mamy iść dalej, ale ja tu wrócę, podoba mi się to miasto. Komisarz powiedział, że wszędzie będą tworzyć nową władzę, a my będziemy jej samą wierchuszką, elitą. Wczoraj kilku czerwonoarmistów zgwałciło jedną miejscową. Komisarz się wkurwił. Nie dlatego, że się zabawili, ale że dziwce łba nie ukręcili i wszystko się wydało. Dziś dostali przeniesienie na linię frontu i dobrze im. Chłopaki z oddziału krzywiły się na nich, w końcu to nasza. Sierżant Stokinow przyniósł kilka flaszek zdobycznego koniaku. To załagodziło sprawę. Przyszedł komisarz, jest najebany, lepiej mu zejść z drogi, bo z nim to nic nie wiadomo. Kiedyś wyrwał



pistolet z kabury i zaczął strzelać do chłopaków. Felczer po cichu powiedział mi, że komisarz przed wojną był u czubków, że ma schizofrenię. Wypuścili go, bo na froncie brakło ludzi...

*

– Coś ty taki zamyślony? Zakochałeś się, czy co?

– Wystarczy mi jednej miłości, uszami mi już ona wychodzi – Marek burknął pod nosem, po czym podniósł się energicznie od biurka i z Lalką Prusa w dłoni poszedł w stronę regałów.

– To co się stało? Masz kłopoty?

Sabina, koleżanka z wypożyczalni, nie odpuszczała, chciała wiedzieć więcej...

– Wszystko jest po staremu, ale od kilku dni stałem się właścicielem interesujących notatek z okresu tworzenia PRL. Tamte lata to dla mnie wielka, biała plama, chciałbym pogadać z kimś pamiętającym te czasy, skonfrontować to wszystko.

– A pana Leona pytałeś?

– Cholera, zupełnie mi on wypadł z głowy. Dziękuję, zaraz do niego pójde.

Marek ruszył w stronę drzwi, ale Sabina zastąpiła mu drogę. Poczł zapach jej perfum, przyjemny, lubił aromat Chance Chanel.

– Nic nie ma za darmo! Może chociaż umówisz się za mną na kawę? – szepnęła, patrząc mu w oczy zalotnie.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Przecież wiesz, że jestem zajęty.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Do wypożyczalni wszedł kilkunastoletni chłopiec

– Czy mogę wypożyczyć *Winnetou* Karola Maya?

Marek myślał, że się przesłyszał. Kto teraz wypożycza książki Maya? To już relik, symbol minionej epoki. Teraz na topie są powieści, których kartki ociekają krwią. Musiał się upewnić.

– *Winnetou*?

– A co pan głuchy? Dziadek mnie prosił, więc przyszedłem. Tu

mam jego kartę czytelniczą.
Chłopak sięgnął do kieszeni.

*

Marek zajrzał przez uchylone drzwi do pokoju na pierwszym piętrze.

– Czy jest pan zajęty, panie Leonie?

– Nie, dla pana zawsze znajdę czas, proszę wejść.

Starszy mężczyzna poderwał się od biurka, uściskali sobie prawice, gościowi podsunął krzesło, sam usiadł na sąsiednim, wyjął z kieszeni wielką, kraciastą chustkę i przetarł nią czoło.

– Coś duszno dziś. No, słucham, w czym mogę pomóc? Sabina przed chwilą co nieco mi na korytarzu wspomniała. Ponoć znalazł pan jakieś notatki. Wprawdzie lata czterdzieste znam z opowieści, bo aż tak stary to ja nie jestem, ale może uda mi się zaspokoić pańską ciekawość. Co konkretnie pana interesuje? Proszę sprecyzować.

– Rządy PZPR i UB. Jak to w Płocku wyglądało?

– Paskudne czasy, to akurat dobrze pamiętam. Wtedy rządził PZPR. Co powiedziała Partia, to było święte. Znałem osobiście kilku sekretarzy. O niektórych krążyły legendy. To były kanalie, a wśród nich najgorszy był towarzysz Kołach. Piął się po szczebelkach władzy niczym kot po drabinie, aż w końcu dochrapał się stanowiska pierwszego sekretarza. Pamiętam go dobrze. Jeździł białą wołgą, wozil go wujek mojej żony. Można by o Kołachu długo opowiadać, to był kawał skurwysyna, ale przy tym barwna postać. Był u szczytu za Bieruta, za Gomułki i nawet za Gierka. Sukinsyn był niezatapialny. Legendy krążyły o jego bogactwach i wybrykach miłosnych. Pies był na kobiety jak mało kto, żadnej nie przepuścił.

– Na czym się tak dorobił?

– Tuż po wojnie skumał się z jakimś ubekiem i obrabiali bogatych. Ponoć nieraz i ukatrupili. To są plotki, ale – jak mawiają – w każdej plotce jest odrobina prawdy. Kołach był strasznym łapówkarzem, to jest pewne, można było z nim wszystko załatwić, a jedynym kryte-



rium była grubość koperty. Proceder ten trwał przez wiele lat. Kariera Kołacha zakończyła się zaskakująco. Towarzysz sekretarz nagle zachorował, zdiagnozowali u niego raka. Zdaje się, że płuc, bo kaszał okropnie, o mały ich nie wypluł. Kołach poczuł na plecach oddech kostuchy i wtedy zmienił się diametralnie. Nawrócił, ochrzcił, zaczął chodzić do kościoła. Partia nie mogła tego tolerować, nie zważając na jego chorobę, wyrzucili go na zbity pysk i to z dnia na dzień. Nawet go nie wpuścili do komitetu po rzeczy osobiste. Po tym zdarzeniu sekretarz już długo nie pożył, oddał ducha kilka tygodni później. Co ciekawe, wdowa po nim końca swoich dni dożyła w strasznej nędzy. Czyli legenda o jego bogactwie okazała się być tylko legendą i niczym więcej. Nie pierwszy i nie ostatni, co wszystko przepuścił.

*

Był późny wieczór. Marek znów zadekował się w piwnicy. Dopiero siódma strona, z trudem czytał wyblakły tekst.

30 kwietnia 1949 roku

Dziś jest cholernie zimno jak na wiosnę.

W kraju dzieje się dużo, a w Partii jeszcze więcej. Gomułkę odsunęli od koryta, ponoć mają go aresztować, to tylko kwestia czasu. Uchwalili ustawę o likwidacji analfabetyzmu, tego nie rozumiem, po co? Ciemną tłuszcą lepiej kierować, a tak wyhodujemy sobie inteligentów, a oni później rzucą się nam do gardeł.

Dziś już od rana mam mnóstwo roboty. O ósmej odwiedziłem towarzysza majora Lewandowskiego w siedzibie UB. Chciał mi pokazać tego skurwysyna Goździka, który przyznał się do planowanego zamachu na komitet. Nie chciałem jechać, kazałem mu tego Goździka postawić pod mur, ale ten uparł się. Pieprzony służbista. Pojechałem, tam pokazano mi zamiast człowieka kupę żywego mięsa, tak go skatowali, sadyści. Po co to tak bić ludzi? Winien, to kulka w łeb i koniec. Jak trzeba być popieprzonym, żeby się tak nad kimś

pastwić. A nieważne, szkoda atramentu na to pisanie. Lewandowski postawił wódkę, wypiliśmy po ćwiartce. Później z szuflady biurka wyjął jakieś zawiniątko i rzucił je w moim kierunku. To był płócienny woreczek, a w nim biżuteria. Co jest grane? – pomyślałem. Prowokacja, czy co?

– Bierście! – rzekł – to zdobyczne, a ja mam dług u was towarzyszu i teraz go spłacam.

O czym on pierdoli? – pomyślałem.

– Nie pamiętacie? To wam odświeżę pamięć...

Marek spojrzał na zegarek. Cholera, to już północ. Musi wracać do domu. Zenobia pewnie znów się wściekła. Nie mylił się, drzwi zastał zamknięte na łańcuch. Wcisnął przycisk dzwonka, ale na nic to się zdało. Nie chciał się awanturować, nie chciał zbudzić sąsiadów. Wrócił do piwnicy. Miał tu stary koc, położył się na skrzynkach i nim opatulił, tak dotrwał do rana. Tuż po godzinie siódmej wsiadł na rower i pojechał do pracy.

– Boże, jak ty wyglądasz? Co się stało?

Sabina stała tuż przy biurku Marka. Zapewne poczuła jego nieświeży oddech, trudno też było nie zauważyć pomiętej koszuli, poluzowanego krawata i włosów w nieładzie.

– Znów cię nie wpuściła? Co za suka! – warknęła.

– Nie mów tak o niej. Nie jest tak źle. Najlepiej to nie wtrącaj się.

– A idź do diabła! – wykrzyknęła i wybiegła z pokoju.

*

6 marca 1953 roku

Wczoraj zmarł towarzysz Stalin. Co będzie dalej? Błady strach padł na niektórych z towarzyszy. Już od rana próbowałem skontaktować się z majorem Lewandowskim z UB, ale on jakby zapadł się pod



*ziemię. Nikt nie wie, kto będzie rządził na Kremlu, teraz może się wszystko zmienić, także w Polsce. I ja muszę zabezpieczyć się na przyszłość. Trzeba uważać, co się mówi, wróg czai się wszędzie...
Towarzysze patrzą wilkiem na siebie, co niektórzy coś szepcą po kątach. Ponoć niektórym nie podobało się, że wykonali wyrok na Nilu. Tego nie rozumiem, to przecież zwykły bandzior na usługach imperialistów, co z tego, że generał. Wczoraj uciekł do Amerykanów jakiś lotnik, ukradł Miga i wypierdolił na Bornholm. O tym wie mało kto, ale ten zasraniec ponoć w Płocku ma rodzinę. Major Lewandowski miał się nią zająć. Mam nadzieję, że troskliwie...*

Punkt dziesiąty zadzwonił budzik, pora kończyć lekturę. Marek zamknął brulion niechętnie. Te sześćdziesiąt stron odręcznego pisma to historia PRL w pigułce, niesamowity materiał. Może go kiedyś opracuje, może weźmie się za doktorat.

*

Minął tydzień. Marek całymi godzinami przesiadywał w piwnicy i poświęcał się studiowaniu pamiętnika. Już od połowy brulionu kartki były bardziej zniszczone, a pismo prawie nieczytelne. Atrament wyblakł, kleksów też było co nie miara. Niektóre fragmenty przepisywał, a to była praca prawie benedyktyńska.

W Książnicy dzień w dzień to samo, jedynie Sabina była dla niego jakby jeszcze miłsza, a może zaczął na to zwracać uwagę. Ponoć mąż ją rzucił i z kochanką wyjechał do Irlandii, biedna dziewczyna. Czemu to zrobił, przecież ona jest taka śliczna i mądra?

Tego dnia na pana Leona natknął się już w progu Książnicy.

– Dobrze, że pana widzę, chciałbym o coś zapytać – zagaił na powitanie.

– Zawsze do usług, panie Marku.

– Ponoć komitet partii mieścił się w naszym budynku?

– Tak, nie wspomniałem panu o tym? Ten budynek nazywano białym domem, ale bardziej pasowałaby nazwa – czerwony dom,

a w sali kolumnowej biło serce partii, tu mieścił się gabinet pierwszego sekretarza. Boże, ale dziś pogoda, co to za wiosna? Wciąż leje i to zimno. Czy w końcu przyjdzie ciepło?
Rozłożył parasol i położył go na posadzce.

– Panu radzę uczynić to samo, inaczej się zniszczy – rzucił przez ramię i udał się do siebie, na piętro.

Marek poszedł do Sabiny na kawę. Dziewczyna była świeżo po lekturze *Ulissesa*, był bardzo ciekaw jej wrażeń, to jest przecież trudna lektura.

*

29 czerwca 1956 roku

Zginęło 75 osób, około 800 zostało rannych, taki był bilans wydarzeń w Poznaniu. Imperialiści chcieli obalić władzę ludu. Jednak towarzysze byli czujni, stłumili to, wypalili zgniliznę rozżarzonym do czerwoności żelazem. Towarzysz Cyrankiewicz powiedział: „Kto podnosi rękę na władzę ludową, temu zostanie ona odcięta”. Współpraca z towarzyszem Lewandowskim z UB układa się coraz lepiej, zależy mu na dobrych kontaktach. Wie, że wystarczy jeden mój telefon i nie ma śladu po pułkowniku. Wczoraj kazałem zwolnić kierownika Szkoły Podstawowej nr 1. Jego córka wzięła ślub kościelny. My tego nie będziemy tolerować. Kościół to nasz największy wróg. Nie rozumiem, czemu ich jeszcze tolerujemy. Pułkownik Lewandowski kiedyś przy wódce szepnął mi, że mamy tam ludzi i praktycznie całkowicie ich kontrolujemy. Tak jest lepiej niż delegalizować, bo po co wywoływać niepokoje społeczne. Powoli oduczymy ich tego katolicyzmu. Wychowamy nowe pokolenie, które samo z siebie zrezygnuje z usług Kościoła, a wtedy zburzymy świątynię, a na ich miejscu zrobimy place zabaw dla dzieci...

Marek zamknął brulion. Niebawem skończy, zostało mu jedynie kilka stron. Zeszyt schował pod starą kapotę, tak na wszelki wypadek i opuścił piwnicę.



*

Dziś Marek szedł później do pracy, więc za pamiętnik zabrał się już od rana.

23 marca 1968

Co za rok. Wszystko przez te „Dziady” Mickiewicza. Od nich zaczęły się burdy na ulicach Warszawy. Później ci literaci od siedmiu boleści napisali „Rezolucję Kijowskiego” o cenzurze. Myślą, że im wszystko wolno, nie ma tak. Wczoraj wieczorem towarzysze wrócili z Warszawy. Jankowski, ten zasłużony ormowiec, zwierzył mi się przy wódce, że nigdy dotąd się tyle nie napałował. Aż go bark bolał. Wybijał z głów tej hołocie studenckiej i żydowskim wywrotowcom chęć siania zamętu. Ponoć samemu Stefanowi Kisielewskiemu pałą wygrzmocił plecy. Syjonistów wyrzucimy do Izraela albo pozamykamy. Komitet i UB wysłały do stolicy trzy autokary robotników. Wykazali się, na pierwszego maja będą orderzy. Trzeba się przygotować, bo jutro ma nas odwiedzić generał Kufel. Czego on może chcieć? Wczoraj dzwonił do mnie towarzysz Lewandowski z UB. Zamknęli dyrektora FMŻ, jego syn podczas wczorajszych zajęć w Warszawie pobił milicjanta. Matka pracuje w przychodni, trzeba ją wyrzucić z roboty i to na pysk. Odechce im się buntu. Jutro jadę na polowanie z sekretarzem z ambasady radzieckiej. Wprawdzie jest teraz okres ochronny, ale zrobienie przyjemności towarzyszowi Borysłowiczowi jest bezcenne. Kto wie, taka znajomość może się kiedyś przydać...

Czas kończyć, brulion zniknął pod skrzynką na jabłka, a Marek pobiegł na górę do mieszkania. Na szybko zrobił sobie kanapkę i jeszcze jedną... dla Sabiny, ona tak źle wygląda, po czym wsiadł na rower i pojechał do Książnicy.

Od pewnego czasu jego wyblakłe, nudne życie nabrało nowych barw. W pracy z Sabiną dyskutował o literaturze, a wieczorami z wypiekami na twarzy studiował pamiętnik. W domu pilnował

się i starał unikać awantur, choć było to bardzo trudne.

*

Grudzień, 1970 rok

Co się dzieje w tym kraju? Zadymy na Wybrzeżu. Milicja wydała nam pistolety, przywieziono worki z piaskiem, szykujemy się na obłężenie. Od dziś nie opuszczamy budynku komitetu, to dla bezpieczeństwa. Od ulicy w kilku pomieszczeniach wybito szyby. Chuligani poranili przy tym sprzątaczkę. ZOMO odwiozło ją do szpitala. Jutro mają przyjechać transportery opancerzone, to może się uspokoi, jak ci zadymiarze zobaczą wojsko, to nasrają w gacie ze strachu. Wszystko zaczęło się po wizycie Brandta, kanclerza RFN. Przypadek czy celowe działanie? Imperialiści wciąż próbują mącić w naszym kraju. Na szczęście są u nas nasi przyjaciele ze Wschodu. Radziecy towarzysze nie pozwolą nas skrzywdzić, w razie czego przyjdą z braterską pomocą. A jak będzie trzeba, to tych, co im się władza ludowa nie podoba, wyślemy na białe niedźwiedzie. Od czwartku mam nową sekretarkę. Niezła, ma takie kurwiki w oczach, aż trudno od niej wzrok oderwać.

Jeszcze zostały dwie strony czytania i koniec, szkoda. Marek był ciut zawiedziony. Tak jak zawsze wcisnął brulion pod skrzynkę i opuścił piwnicę. Na klatce schodowej natknął się na Zenobię, w jej włosach tkwiły właki, pewnie szła go skontrolować.

*

To był czwartek, późne popołudnie, Marek zszedł do piwnicy i stanął w jej progu jak wryty. Był przerażony, zniknęły wszystkie książki. Zaczął nerwowo przerzucać graty. Brulionu, wcześniej ukrytego pod starą skrzynką na jabłka, też nie było. Mężczyzna poczuł gorąco uderzające mu do głowy. Wszystko, tylko nie pamiętnik! Włamanie?! Nie, kłódka nie była naruszona. To robota Zenobii.



Wybiegł z piwnicy, nie czekał na windę, na górę pobiegł schodami.

Żona siedziała na kanapie i gapiała się w ekran telewizora niczym sroka w gnat.

– Gdzie są moje książki?!

Zenobia nawet nie drgnęła. Marek podszedł do regału i wtyczkę odbiornika wyrwał z gniazdka, to pomogło, kobieta spojrzała na niego. Stanął tuż przed nią z zaciśniętymi pięściami.

– Gdzie są moje książki?! Mów, do cholery, bo nie ręczę za siebie

– wycedził przez zaciśnięte zęby.

Kobieta wcisnęła się plecami mocniej w oparcie fotela, miała strach w oczach.

– W kontenerze – wyszeptwała.

– Debilka! – wykrzyknął i wybiegł z mieszkania.

Musiał odzyskać brulion, nic innego się teraz nie liczyło. Zjechał windą na dół. Zaopatrzony w dwie latarki wkradł się do śmietnika. Godzinami grzebał się w blokowych śmieciach, rozerwał chyba każdą plastikową torbę. Przesiał wszystkie smrodami tego domu, ale zeszyt odzyskał.

Teraz stał na klatce schodowej i trzymał go kurczowo w dłoni. Sąsiedzi omijali go szerokim łukiem, bo śmierdział niczym skunks amerykański, ale dziś to nie było ważne. Pamiętnik znów był w jego posiadaniu. Sięgnął po telefon i wybrał jakiś numer.

– Mam go! – szepnął po chwili do mikrofonu.

Sierpień 1981 roku

To wszystko przez te cholerne kartki na żywność, obniżono normy i tłuszcza wyszła na ulice. Sytuacja jest napięta. Bunty rozlały się po więzieniach. Znów Wybrzeże strajkuje. Kościół podburza Polaków. Gryzą dłoń, która ich tyle lat karmiła. Wiele lat temu mówiłem, żeby im się dobrze do dupy, to towarzysze się bali. Teraz mają za swoje. W Warszawie w KC szepczą po kątach, że Jaruzelski weźmie wszystkich za mordy, że wyprowadzi wojsko i robi porządek, tak

jak to kiedyś zrobił Cyrankiewicz w Poznaniu. Mam nadzieję, że pozamyka tych wywrotowców. Muszę myśleć o przyszłości, trzeba być ostrożnym. W dzisiejszych czasach nie można nikomu ufać.

Markowi została jeszcze jedna kartka. Ta była w najgorszym stanie, atrament prawie zupełnie wypłówał. Z pracy przyniósł silne szkło powiększające. To był strzał w dziesiątkę, mógł czytać dalej.

Grudzień 1981

Jaruzelski wprowadza stan wojenny, nareszcie! Armia weźmie za mordy tych wichrzycieli, odechce im się strajków, wybijania szyb w komitetach, plucia na ZSRR, władzy...

*

Była sobota, dziesiąta rano. Pan Leon, ubrany odświętnie, przekroczył próg biblioteki. To dziś miały się odbyć uroczystości związane z osiemdziesięcioleciem Książnicy, ale nie tylko, mężczyzna po czterdziestu pięciu latach pracy udawał się na zasłużoną emeryturę, a chodziły słuchy, że i order dostanie.

Już w holu natknął się na szefową. Kobieta była cała roztrzęsiona. Widząc pana Leona, podbiegła do niego i chwyciła go za rękę.

– Katastrofa! W nocy wdarli się tu wandal! Trzeba zawiadomić policję! Panie Leonie, co robić, pan jest tu jedynym mężczyzną, niech pan coś poradzi. Uroczystości się nie odbędą, wszystko na nic – rozpaczała.

– Zaraz, zaraz. Niech się pani uspokoi. Co się stało?

– Ktoś włamał się do sali kolumnowej i wybił w ścianie wielką dziurę. Po co? Jak można tak bezmyślnie niszczyć mienie? Ja tego nie rozumiem!

– Pójdę zobaczyć.

Mężczyzna udał się niezwłocznie na pierwsze piętro.

Faktycznie, w sali kolumnowej w ścianie między oknami widniała wielka dziura, ktoś musiał się przy tym nieźle natrudzić. Na

podłódze leżał gruz, kawałki cegieł i zdarty tynk. Pan Leon podszedł bliżej, schylił się i przyjrzał murowi bardzo uważnie. Już na pierwszy rzut oka widać było, że ilość gruzu nie odpowiadała wielkości ubytku ściany. Ktoś coś stąd wyjął. To nie byli wandal. Kim byli ci ludzie?

Nagle coś go tknęło. To niemożliwe, to absurd, pomyślał. Musiał to jednak sprawdzić, tak dla świętego spokoju. Poszedł do swojego pokoju, sięgnął po telefon. Wybrał numer do Marka.

– Abonent niedostępny – usłyszał.

Wybrał numer do Sabiny.

– Abonent niedostępny.

W pana Leona jakby piorun strzelił. Usiadł za biurkiem i wtedy dojrzał na środku blatu stary, zniszczony brulion. Na okładce ktoś niedawno wykaligrafował czarnym mazakiem Pamiętnik sekretarza Kołacha. Otworzył go i przekartkował, ostatnia strona była wyrwana. Domyślił się, co zawierała i dlaczego ją zniszczono. Skarb rzeczywiście istniał! Był tu, w Książnicy, przez cały czas ukryty w ścianie. Ale teraz to już tylko legenda...





STO LAT ŻYCZYĆ WAM, TO MAŁO,
TYSIĄC LAT BY SIĘ PRZYDAŁO!!!

TYSIĄC LAT KSIĄŻNICY PŁOCKIEJ życzy CioCIO Jodzio.

Eliza Piotrowska

TAJEMNICA MŁODOŚCI

Osiemdziesiąt lat to fart jest
(zwłaszcza, gdy się jest w rozkwicie).

Jak być w formie w takim wieku?

Trzeba chcieć.

Bo chęć to życie!

Instytucja jako taka nie istnieje,
jest nią Człowiek,
to, co w sercu ma lub nie ma,
to, co ma lub nie ma w głowie.

Jej wiek zatem to rzecz względna,
choć staż mając, respekt budzi,
ale żaden staż i respekt
nie zastąpią dobrych ludzi.

Tu przejść pragnę już do sedna:
jubileusz, Płock, Książnica,
osiemdziesiąt lat i chęci
– ot, młodości tajemnica!

*Kochani, dziękuję za wszystkie wspaniałe spotkania,
a przede wszystkim za to, że Wam się chce.*

Eliza Piotrowska

Olga Rudnicka

Rączka

– Małżeństwo jest całkiem fajną rzeczą, zanim kobieta postanowi, co naprawdę chce robić w życiu – wygłosiła Ewka wszem i wobec, ale głównie wobec siebie. – Nie wiem, kto to powiedział i ile miał w tym racji, bo ja nie muszę wychodzić za mąż, żeby wiedzieć, czego chcę od życia. Nie rozumiem tylko, dlaczego nikt poza mną tego nie rozumie – zżymała się.

– Wyobraź sobie, Maksiu – zwróciła się do psa, który właśnie rozkopywał kretowisko w najmniejszej mierze niezainteresowany wywodem pańci – że ta kretynka celowo we mnie wycelowała tym koszmarnym wiechciem, zwanym bukietem ślubnym. Moja matka posikała się ze szczęścia, jak go złapałam, ale co miałam robić? Dostać w twarz?! – Kopnęła leżący obok ścieżki kamyk.

– Jestem pewna, że to zmowa. Obie powinno się utopić w Rowie Mariackim i to w cementowych bucikach, żeby nie wypłynęły – mówiła z coraz większą zawziętością w głosie. – Wiedziałam, że to musi się źle skończyć! Wiedziałam! Ślub nie może wróżyć nic dobrego. Mówiłam sobie: Ewka nie idź. Nieważne, że to ślub twojej siostry. To się źle dla ciebie skończy. Pamiętasz, jak sama omal nie wyszłaś za mąż? Na szczęście wytrzeźwiałaś zanim powiedziałaś TAK. I widzisz, co narobiłam, Maksiu? Poszłam na ten cholerny ślub jak jagnię prowadzone na rzeź! A teraz moja matka nie da mi żyć!!!

Beagle o bursztynowych oczach pomachał przepraszająco ogonem. Kreta nie było. Może nadeszła już pora, by spuścić go ze smyczy. Zaskomlał ponaglająco.

– No tak, ja tu gadam, a ty wisisz. No idź, idź, pobiegaj sobie, tylko pamiętaj, kto cię żywi, żebyś wiedział do kogo wrócić – pouczyła psa, po czym odpięła smycz. – Szukaj rączki! – poleciła. – Gdzie jest rączka? – Była to dość upiorna zabawa, ale Ewka uwielbiała czarny humor. Maksiu sprintem puścił się w las. Pańcia była

Z okazji jubileumu Książnicy Podgaj.
Pragnę złożyć serdeczne życzenia
występowi Bibliotekarzom Podgajowi
im za wiarę i wytrwałą służbę w
promowaniu czytelnictwa, a przede wszystkim
życzyć wspierających czytelników, bogatych
bibliotek i kolejnych jubileuszy.

Olga Rudnicka



dobrze wyszkolona. Nie drgnie z miejsca, w którym ją zostawił, póki nie wróci.

– Właściwie matka już nie daje mi żyć – stwierdziła smętnie, opierając się o drzewo. – Nie dość, że wysłała mi zdjęcia ślubne zaznaczając czerwoną otoczką kawalerów ze strony pana młodego, to jeszcze zdążyła obdzwonić wszystkie swoje koleżanki, by sprawdzić, czy któreś z nich nie zwolniło się stanowisko synowej. Co za wstyd!

Pies wrócił już po kilku minutach. Na ogół zniknął co najmniej na kwadrans, a po pół godzinie przywoływała go gwizdkiem, by nie zedrzeć sobie gardła.

– Maksiu?! – zdziwiła się. – Co ty tam masz? – zapytała, widząc, że niesie coś w pysku. – Jak zabiłeś jakiegoś biednego zajączka, śpisz na podłodze – zagroziła, pochylając się nad resztkami tego czegoś, co psiak rzucił jej do stóp. Wyglądało to zupełnie jak... jak... ludzka ręka?

Ewka odskoczyła ze wstrętem, zakrywając usta dłonią.

– Maksiu! To był żart! – pisnęła przestraszona. – Żart! Zły pies! Niedobry pies! Odnieś rękę!

Na psim pysku widniał zawód. Wydawał się pytać: A gdzie ciasteczko?

•

– Nie, proszę pana. Nie robię sobie żartów!

– Nie jestem pijana!

– Nie zażywam żadnych leków!

– Nie lecę się u psychiatry!

– Błagam, niech ktoś tu przyjedzie, a obiecuję, że wyjdę za mąż! Tylko niech pan tu kogoś wyśle! – błagała zrozpaczona Ewka, siedząc na drzewie, pod którym warował Maksiu. Biedny pies uznał, że pańcia nie dość dokładnie obejrzała jego znalezisko i dlatego nie dostał ciasteczka. Nim Ewka się spostrzegła, znalezione szczątki spoczęły na jej ulubionym bucie trekkingowym. Jedyne co mogła zrobić, to szybko zdjąć but, który nie nadawał się w jej opinii nawet do odkażenia i w obawie, że pies tak łatwo się nie podda, wdrapała się na drzewo, z którego usiłowała zainteresować

policję swoją sytuacją. Niestety, pan ze 112, który odebrał telefon, wykazał się najpierw niedowierzaniem, następnie podejrzliwością zmieszaną z irytacją, aż w końcu – z pewnością dochodząc do wniosku, że z wariatami się nie dyskutuje, zwłaszcza takimi, którzy mogą stanowić dla siebie zagrożenie – obiecał wysłać patrol.

– Gdzie jestem? – zmartwiła się Ewka, gdy padło zasadnicze pytanie. – Hm, jakby to panu wytłumaczyć... Siedzę na drzewie. Liściastym. Ale za cholerę nie wiem, co to jest. Z prawej strony mam łąkę, z lewej las. Taki mieszany.

– Skąd mam wiedzieć, jak się nazywa pole?! Co ja jestem?! Geodeta?!

– Ja na pana krzyczę?! To pan na mnie krzyczy!!!

– Może pan wie, gdzie jest wschód, a gdzie zachód! Ja odróżniam tylko lewo i prawo!

– No dobra, za miastem skreśli pan w... zaraz... niech policzę... druga, trzecia, nie czwarta! Tak, czwarta droga w prawo i jedzie pan tak długo, aż dojedzie do polnej drogi. Stoi tam dom z czerwonym dachem i jedzie pan do końca tą drogą, aż wjedzie pan w las. I jak pan wejdzie w drugą ścieżkę w prawo, to wyjdzie pan na takie fajne pole, gdzie płynie strumyk. Z daleka widać kilka pojedynczych drzew, taką kępkę, za nią jest droga i las. A ja siedzę na drzewie koło tego lasu.

– Skąd mam wiedzieć, czyj to teren?! To pan powinien wiedzieć!!! Za co panu płacę?!

– Tak, ja panu płacę! Pracuję! Płacę podatki! Z podatków ma pan swoje wynagrodzenie!!!

– Dziękuję, czekam – rzuciła już spokojniej, gdy uzyskała zapewnienie, że zaraz ktoś podjedzie. – Maksiu – zwróciła się na powrót do psa, zauważając, że głos zaczyna jej drżeć – pańcia cię kocha, ale drzewo nie jest dla psa. Pies siedzi pod drzewem i czeka aż przyjedzie policja i zabierze twoje znalezisko. Może do sanepidu też powinnam zadzwonić? – Przyszło jej nagle do głowy. Maksia chyba powinno się zdezynfekować. Spojrzała w dół na psa, który położył się na trawie i obserwował ją. Znalezione szczątki leżały między



jego łapami. Oby nie zaczął ich obgryzać – pomyślała spanikowana. Mięsa to tam już nie było. Same kości obciążnięte wyschniętymi resztkami ciała, ścięgien, mięśni? Ewka nie miała pojęcia, jak zmienia się ciało po śmierci.

– Maksiu, ty chyba nie rozkopasz grobu? – zapytała piskliwie. – Nie, niemożliwe, skąd grób w lesie? Łapy i morda czyste, nie, to nie był grób – odetchnęła z ulgą. Jeszcze tego brakowało, żeby do kosztów nowych butów, odkażania i psychoterapeuty, którego będzie potrzebować, doszła jej sprawa za profanację.

•

Radiowóz jechał według wskazówek operatora. Leśna droga była utwardzona i na szczęście przejezdna.

– Może powinniśmy wezwać pogotowie? – zasugerował młody policjant zajmujący miejsce pasażera. To był jego drugi dzień pracy i jak dotąd nic się nie działo. Wlepili kilka mandatów, zatrzymali rowerzystę przejeżdżającego po pasach na przejściu dla pieszych i zaliczyli jedną interwencję domową, która okazała się być nie znęcaniem się nad dzieckiem, jak podano w zgłoszeniu, tylko ćwiczeniem przed karaoke.

– Po co? – Aspirant Jarek Benedykt ziewnął ze znużeniem.

– Ta pani może być niezrównoważona.

– Jak większość kobiet.

– Naprawdę? – zapytał sceptycznie.

– Przemuś, czy ty już się umawiasz z kobietami? – zapytał z ironią starszy kolega.

– Mam dwadzieścia trzy lata. – Przemuś starał się nie obrazić.

– To może powinienes zacząć. Dobra, tamto drzewo. – Jarek wskazał palcem na wprost siebie.

– Skąd pan wie?

– Widzisz tego podskakującego psa? Założę się, że tam siedzi nasza panienka.

– Jasne – zakłopotał się. Faktycznie, jakieś zwierzę obiegało dookoła drzewo rosnące obok łąki. Opis topograficzny się zgadzał.

Nawet jeśli to wariatka, przynajmniej ma oko do szczegółów.

Jarek zjechał na bok, na wypadek, gdyby droga była uczęszczana i wysiadł z radiowozu. Pies podbiegł do niego, machając wesoło ogonem.

– Niech go pan nie dotyka! Mógł się w coś wytarzać! – Z drzewa dobiegł go kobiecy głos.

– Siad! – polecił psu, a sam podszedł bliżej. Na jednej z gałęzi siedziała młoda kobieta koło trzydziestki. Szare legginsy były przybrudzone od mchu, na ramieniu dostrzegł zadrapanie, ale tak to jest, jak człowiek wchodzi na drzewo w skąpym topie odsłaniającym pępek i ramiona. W ciemne włosy do ramion wplątana była gałązka, a brązowe oczy patrzyły na niego z irytacją.

– Wreszcie! – przywitała go kobieta. – Niech pan łapie!

Chyba to nie ręka? – pomyślał, łapiąc odruchowo rzucony mu przedmiot.

– I uwiężę Maksa. Jak zejść, to mnie napadnie, a nie zamierzam kąpać się w Domestosie. Nie wiem, gdzie się szlaja i co tam jeszcze znalazł. To była tylko zabawa!

– Zabawa? – zapytał, przypinając smycz do obroży siedzącego grzecznie psa. Waruj! – polecił mu stanowczo, a pies przypadł do ziemi i zastygł.

– Cholera, że też sama na to nie wpadłam – powiedziała Ewka, zeskakując z drzewa. – Chyba spanikowałam – przyznała z zakłopotaniem – ale to wszystko przez moją matkę i ten cholerny ślub.

– Wychodzi pani za męża? – zapytał Przemuś, stając obok starszego partnera.

– Po moim trupie, ale mojej matce pewnie by to nie przeszkadzało, byleby na zdjęciach dobrze wyszła – powiedziała kwaśno Ewka.

– Aspirant Jarek Benedykt. Zgłaszała pani znalezienie zwłok.

– Nie zwłok, tylko szczątków. I nie całych, tylko częściowych. I nie ja, tylko pies.

– Pies zgłaszał? – zdumiał się Przemuś.



Ewka spojrzała z politowaniem na złotowłosego chłopca w mundurze.

– W dniu, w którym mój pies przemówi ludzkim głosem, popełnię samobójstwo. To nie jest ten dzień.

Benedykt omal nie parsknął śmiechem. Chrząknięciem pokrył rozbawienie i zapytał: To gdzie jest to znalezisko?

– Nie wiem, gdzieś odniósł. – Zakłopotana Ewka podrapała się po głowie. – Czekałam na was prawie dwadzieścia minut i włączyłam literaki na komórce, a Maksiu kręcił się gdzieś tutaj. Maksiu! – zwróciła się do psa. – Gdzie jest rączka? Przynieś rączkę!

Przemuś zdębiał. Otworzył usta i zastygł. Aspirant Jarek Benedykt również zastygł, ale tylko na moment, gdyż pies zerwał się na nogi i pognął w stronę lasu, a zważywszy na to, że to on trzymał smycz, został zmuszony pobiec za nim. Na szczęście Maksiu zatrzymał się tuż przy linii drzew, gdzie porzucił swoje znalezisko.

– Waruj! – polecił ponownie psu. – Przemuś! – zawołał. – Dzwoń po techników! To faktycznie ludzka ręka!

– Mówiłam tamtemu panu. – Ewka, znacznie spokojniejsza, zajrzała mu przez ramię. – Myślał, że zwariowałam.

– No cóż... – chrząknął. – Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie.

– Jeszcze tego by brakowało – zachnęła się Ewka.

– Skąd pies przyniósł rękę?

– Nie mam pojęcia. Kazałam mu szukać rączki, ale dziś jest pierwszy raz, kiedy faktycznie znalazł. Wie pan – zarumieniła się lekko pod badawczym spojrzeniem ciemnych oczu – taka głupia zabawa. Żart taki. Upiorny trochę, ale nieszkodliwy – powiedziała obronnym tonem. – Przecież na cmentarz z nim nie chodzę!

– Jeszcze tego by brakowało. – Uśmiechnął się.

– Co pana tak bawi? Człowiek nie żyje!

– Sądząc po stanie ręki, przynajmniej od kilku miesięcy. Przemuś! – wrzasnął po raz wtóry. – Każ im przywieźć psa tropiącego. Musimy znaleźć resztę! A panią zapraszam do auta. Kolega spíše zeznanie.

– Zeznanie?

– Tak, pani dane personalne. Okoliczności znalezienia szczątków. Numer telefonu na wypadek, gdybyśmy mieli jakieś pytania.

Ewka spojrzała na niego podejrzliwie. Od czasu nieszczęsnego wesela nie miała zaufania do mężczyzn proszących ją o numer telefonu. Kto wie, kogo naśladała na nią matka.

– Ewka Konwicka – przedstawiła się podając mu rękę.

– Aspirant Jarek Benedykt.

– Moja matka to Adela Konwicka. Zna ją pan?

– Nie sądzę, a powinienem? – zdziwił się lekko.

– Absolutnie nie – oświadczyła stanowczo. – Moja siostra to Anka Konwicka, teraz jakoś inaczej się nazywa, wyleciało mi z głowy. Jej też pan nie zna?

– Nie sądzę, a jaki to ma związek...

– Żadnego. – Uśmiechnęła się z ulgą. – To co? Idziemy?

– Dokąd?

– Spisać zeznanie.

– Jasne, bardzo proszę. Pani pierwsza. – Lekko skołowany odetchnął głęboko, idąc za nią i prowadząc jej psa na smyczy.

Przemuś czekał przy radiowozie z notatnikiem w ręku. Procedury miał w małym palcu, podczas gdy aspirant też je miał, tyle tylko, że gdzie indziej. Stosował się tylko do tych, które były mu potrzebne, w pozostałym zakresie kazał mu być człowiekiem. I nie wzywać rodziców za każdym razem, gdy zobaczy dzieciaki przebiegające ulicę w niedozwolonym miejscu. Ma je zatrzymać, postraszyć i puścić. Jest szansa, że to wystarczy.

– Ewa Konwicka. Lat dwadzieścia dziewięć... To znaczy... tak dokładnie to trzydzieści dwa, ale kto by to liczył. – Pociągnęła z zakłopotaniem nosem.

– Co tu robiłam? Byłam na spacerze z Maksiem. Maksiu musiał się przejść, a mi spacerzy pomagają uporać się z emocjami i morderczymi skłonnościami. Wie pan, głupio byłoby zabić własną matkę albo siostrę. To, że ona wyszła za mąż za swojego pierwszego chłopaka, nie znaczy, że ja też muszę. Zwłaszcza, że nie widziałam



go od jakichś dziesięciu lat. Umawiam się na randki, ale żeby zaraz za męża? Wie pan, jak długo wybierałam psa? Pięć lat, proszę pana! Pięć lat szukałam właściwej rasy. A męża mam wybrać w kwadrans?

– Więc wyszła pani na spacer z psem. – Przemus zaczął rozumieć, o co chodzi z podejściem aspiranta do procedur. Powinien zapisać każde słowo, ale może wystarczy sens ogólny.

– Dokładnie tak. Na ogół nie chodzimy tak daleko, ale to wina tego cholernego bukietu, którym rzuciła we mnie siostra na ślubie. Musiałam złapać to cholerstwo, bo inaczej różę wybiłyby mi oczy, a teraz moja matka szuka mi męża.

– Tego może lepiej nie będę pisał...

– Fakt, tego lepiej niech pan nie pisze. Nie wiadomo, kto to będzie jeszcze czytał – przyznała mu rację Ewka, zezując okiem na przysłuchującego się im bruneta. Ten Benedykt był całkiem przystojny.

– I podczas spaceru pies znalazł rękę?

– Zgadza się. – Zasnurowała usta. Zabawa i tak wyszła na jaw, ale nie na papierze. Jakby co, w życiu się nie przyzna, przynajmniej nie oficjalnie, że kazała mu szukać trupa.

– Gdzie?

– Nie wiem. Puściłam go, żeby sobie pobiegał. – O rany, chyba w lesie nie wolno spuszczać psa – pomyślała spanikowana. – Na łące. Miał biegać po łące, ale to nie jest najmądrzejszy pies na świecie, więc pomyliły mu się kierunki i pognął do lasu. Oczywiście zamierzałam za nim pobiec, żeby go jak najprędzej złapać, ale niestety, zniknął mi z oczu, więc nie miałam innego wyjścia niż zaczekać, aż wróci.

– Mam to pisać? – Przemus zapytał kolegi.

– Maksiu jest dobrze wyszkolony. Zawsze wraca w miejsce, z którego odbiegł, bo wie, że tam na niego czekam – dodała Ewka.

– Czyli pies wyszkolił panią, żeby czekała pani na niego w miejscu, z którego odbiegł? – uściślił Jarek, nie kryjąc szerokiego uśmiechu.

Ewka spojrzała na niego krzywo.

– Jak pan to ujmuje, to jakoś gorzej brzmi – skwitowała.

– To co mam napisać? – dopytywał się Przemus.

– Że pani nie wie, gdzie pies znalazł szczątki – podpowiedział mu aspirant Benedykt.

– Przecież dokładnie to powiedziałam.

– Użyła pani zbyt wielu słów.

Ewka nie zdążyła odpowiedzieć na tak jawną zniewagę, gdy dźwięk telefonu rozzedł się po okolicy.

– Przepraszam, moja matka. Tak, mam? – zapytała, odbierając telefon.

– Nie, mam, nie jestem sama.

– Nie, to nie randka. Policjant mnie przesłuchuje.

– Nie wiem, czy jest żonaty! – syknęła, odwracając się plecami do funkcjonariuszy.

– Jeden jest zdecydowanie za młody!

– I co z tego, że młodszego łatwiej wychować!

– Dwóch, mam, ale na pewno nie zapytam!

– Nie widziałam obrączki, ale to o niczym nie świadczy!

– Mam, ty nawet nie zapytasz, co się stało? Może zostałam napadnięta przez żonatego napastnika?!

– Oczywiście, że nic mi nie jest i wcale nie pyskuję!

– Maksiu znalazł kawałek trupa.

– Mam, to że nie zostałam napadnięta, nie znaczy, że nie jestem wstrząśnięta! Nie mam głowy do randek!

– Nie, nie będę pytać żadnych policjantów, czy zjedzą ze mną kolację. Sama mogę zjeść kolację!

– Ale ja lubię sama jeść! Nie potrzebuję, żeby ktoś zaglądał mi w zęby!

– Mam, oddzwonię! Pa!

– Przepraszam panów, to moja matka. – Spojrzała na nich podejrzliwie. Ten młodszy gapił się na nią jak cielę, a ten starszy (ten przystojny) dławił się ze śmiechu.

– Pan też ma matkę! – powiedziała zgryźliwie.

– Zgadza się. – Uśmiech nie schodził mu z twarzy. – Ale ja



mam jeszcze dwóch braci, którzy mieszkają bliżej niej.

– Moja matka jest już za stara na kolejne dzieci. To mi nie pomoże. Może jak Anka się rozmnoży, to wnukami się zajmie i ode mnie odczepi? Myśli pan, że jest szansa? – Spojrzała na niego z nadzieją.

– Nie mam pojęcia.

– Mógłby pan chociaż skłamać.

– Kłamię tylko służbowo – poinformował ją z rozbawieniem.

– Aha. – Ewka nie była pewna, czy mężczyzna z niej kpi, czy też nie.

– Sprawę przejmie dochodzeniówka, więc będzie pani zmuszona pofatygować się na komisariat, żeby złożyć ponownie szczegółowe zeznanie. Dostanie pani wezwanie – poinformował ją już poważnym tonem. – Przemus, odwieź panią, a ja zaczekam tu na techników.

– A pies?

– Pies?

– Mogę dostać mojego psa z powrotem?

Jarek popatrzył na siedzącego u jego stóp beagle'a.

– Muszę go wykąpać. I wyszorować mu zęby. Wyprać buty.

Przecież nie będę kupować nowych – westchnęła.

Policjant bez słowa podał jej smycz.

– Chodź tu, mała gnido. – Pociągnęła Maksia za sobą, wsiadając do radiowozu.

Jarek z zadumą spoglądał za oddalającym się pojazdem, po czym sięgnął do kieszeni, gdzie schował notatnik podany mu przez Przemusia. Zaraz pod imieniem i nazwiskiem kobiety widniał starannie wypisany szereg cyfr. Uśmiechnął się lekko do siebie i zapisał jej numer w swoim prywatnym telefonie.

BIBLIOTEKARKA Z PŁOCKA
WIJE SIĘ W MĘKACH CO NOCKA,
BO MIMO ŻYCIA W CIŃCIE
NOC W NOC (KU TEJ ZGRZYBOCIE)
ŚNI TEJ SIĘ GRUPOWA MŁOCKA.

Michalek RUDINEK

18.09.2017

KSIĄŻNICA PŁOCKA



Kocham Książnicę Płocką

Andy Slesick





Dorota Sumińska

Książnica Płocka

Jest starsza ode mnie tylko dwadzieścia lat, ale gdy ja zaczynałam raczkować, Ona już przez dwie dekady pozwalała ludziom przenosić się w inne czasy, wymiary i czytać w myślach zapisanych na kartach książek.

W naszej kulturze książka jest dogmatem człowieczeństwa. Wszak w najważniejszej z punktu widzenia tej cywilizacji księdze napisano – pierwsze było słowo. Zastanówmy się jednak nad sposobem przekazywania go sobie. Zanim powstała pierwsza książka słowo było ulotnym dźwiękiem. Można je było rzucić na wiatr i zostawała pustka? Nie. Mogło jak dziś uratować komuś życie lub zranić niczym najostrzejszy z noży. Uczymy się tego od urodzenia i znamy wiele dobrych i złych słów, zanim poznamy litery. Bo choć zapisuje się nimi słowa, to są tylko symbolem naszych uczuć. Kocham – można przeczytać na sto sposobów i każdy może mieć trochę inne znaczenie. Wszystko zależy od czytającego.

Nie umiem żyć bez czytania, ale mam zbyt mało czasu na zatopienie się w lekturze. Znalazłam wyjście. Jadąc samochodem, słucham mistrzów słowa czytających słowa mistrzów literatury. Panowie Pszoniak i Dostojewski, Peszek i Neverly. Na nowo odkrywam znane dużo wcześniej historie. Dzięki emocjom włożonym w słowa. Bez nich znaczyłyby niewiele. Ważne, by wiedzieć, jak wielką mają moc i umieć z niej korzystać.

Uczucia, porywy duszy, jej wzloty i upadki możemy zapisać, ale bez umiejętności przeżywania nie będą dobrze odczytane. A tego uczymy się tak samo jak wszystkie inne gatunki na Ziemi. To nauka czysto praktyczna i tak bardzo dziś zaniedbana przez człowieka. By umieć przeżyć słowo, nie wystarczy go przeczytać. Najpierw trzeba je przeżyć. Nawet niewypowiedziane. Mój świat jest pełen tych właśnie. „Mówią” do mnie wszyscy. Psy, koty, jaszczurki,

wrony, trzaski, krowy i świnie – te nawet krzyczą. Błagają o ratunek. Robią to drzewa z Puszczy Białowieskiej i te zza płotu. Żaby ze zrytej quadami łąki, ryby z dalekomorskiego trałowca i białe niedźwiedzie z topniejącej północy. Czuję ich „słowa”. Spisuję więc wszystkie i mam nadzieję, że ktoś przeczyta ze zrozumieniem. Niestety niewielu mamy Pszoniaków i Peszków. Nasza planeta ginie w potoku niezrozumianych słów. Traktujemy je jak natrętne muchy. Nawet gdy płyną z dogmatów naszej kultury. „Nie zabijaj” – wszak nie napisano kogo, tylko po prostu – „Nie zabijaj”. Zabijamy. I to przemysłowo. Zrobiliśmy z tego nie tabu, a przemysł. To znaczy – dla własnej wygody zrobiliśmy tabu z przemysłu tortur i śmierci. Nie mówi się o tym przy dzieciach. Nawet się o tym nie myśli, by nie popsuć apetytu. Że się nic nie „słyszy”, nie wspomnę. Już dawno zatkaliśmy uszy na wołanie o pomoc.

Zostały nam tylko puste, nic nieznaczące słowa. Miłość, współczucie, człowiek, humanitaryzm, dobroć i miłosierdzie. Co znaczą? By nie były tylko znaczkami na papierze, czytamy je ze zrozumieniem, a zrozumieć znaczy przeżyć.



Laudacja apokryficzna
ku czci osób i instytucji,
którymi Płock szczycić się może

Książę Władysław z Płocku zrodzony,
co kręcił mowę ojczystą,
rucił salony, trony, korony
i uznał się socjalistą.

Jednak Historia, dama niestata,
nie dała rozstać się z tronem.
Wieniec laurowy poecie dała
i uoryniła patronem.

Został Władysław patronem preto
nie kina ani ulicy,
ale że wielkim był on poetą -
- Patronem Płockiej Książnicy.

Kazimierz Szymeczko

Książnicy Płockiej żyję z całego
serca mosty pręży wleku lat tak
prężnego obraż przytępnego ze wszelkimi
mianami diatonia na nowo kręcić,
cytelnictwa, a przede wszystkim
na nowo nas, cytelników.

Żyję też oby Was nie opuszczał
entuzjazm i radość z tej pracy.
Miech miłośnikom, a także mi
winni dnie, sprowadzi w Wasze
progi najlepszych ludzi

Z przychylnością i szacunkiem
Og. Tokmank

Wspomiaty: Grigulę Płocicką
 im. Władysława Broniewskiego
 z jubileuszowej agencji
 tłumów - Grigule
 ustępił
 i autów
 (niechcący spotkał się z nią -
 jak ja!)

Agata
 Lejman

Warszawa,
 koniec 1917

Na 80 urodzin
 Krystyny Płocickiej
 Perł
 Walek





Oliwia Kordalewska

Nagroda główna w konkursie jubileuszowym
z okazji 80-lecia Książnicy Płockiej

Zostało w człowieku

Była już prawie piąta rano, kiedy impreza zaczęła przygasać. Orkiestra Króla Walca, wynajęta na tę noc od *messer* Wolanda, grała dalej, ale dawno już nikt nie tańczył, a uczujący przysypiali milkliwie. Nadchodził poniedziałek.

– No i znowu do roboty – westchnął król Syzyf i wytrząsnął sobie do gardła ostatnie krople nektaru z czaszy.

– My z Zającem i Kapelusznikiem – powiedziała Alicja – urządzamy sobie czasem takie podwieczorki, co nigdy się nie kończą.

Język już się jej trochę plątał, ale dzielnie usiłowała nie zasnąć, wsparta na ramieniu Nikodema Dyzmy, który chrapał z policzkiem wtulonym w sałatkę jarzynową na talerzu.

– O brudne naczynia w ogóle się nie martwimy – ciągnęła.
– Po prostu co jakiś czas przesiadamy się przy stole o kilka nakryć dalej.

– A jak się stół kończy? – zainteresowała się siedząca obok Daenerys Targaryen.

– Zamawiamy pizzę.

– Właściwie co to za okazja? – spytała Ania Shirley, nowa w towarzystwie, bo zakupiona dopiero w zeszłym tygodniu.

– Urodziny Bilbo Bagginsa, szanowna pani. Jak zwykle, sto jedenaste – odpowiedział flegmatycznie zza stołu Sherlock Holmes.
– A przy okazji: jak widzę, przybyła pani z Kanady, jest pani sierotą, pani narzeczony jest lekarzem, a pani najlepsza przyjaciółka ma na imię Diana.

– Na Boga, skąd pan to wszystko wie? – wyjąkała zdumiona Ania.

– Masz streszczenie na okładce, idiotko – wyburczał Dyzma z głębi sałatki, bezskutecznie próbując unieść głowę.

Orkiestra zamilkła, zebrata wąż porcję zmęczonych braw, zaczęła pakować instrumenty i po kolei teleportować je do piekła. Goście najpierw pojedynczo, a później coraz liczniej wstawali i odchodzili od stołów; zaczęły nadciągać skrzaty prowadzone przez Zgredka i Mrużkę, powoli biorąc się za sprzątanie naczyń, rozsuwanie mebli i cucenie najbardziej zmęczonych gości. Jeszcze po kątach zwoływały się grupki znajomych na ostatnią kolejkę przed snem i jutrzejszą pracą.

– Słyszałam, jak mówiła w piątek, że na ten miesiąc mam już pięć zamówień – mówiła kwaśno Borynowa Jagna. – Wiadomo, matury. No i, psiakrew, znowu pięć razy mnie będą wywozić na furze gnoju. I domyć się tu potem, a za kilka dni to samo.

– Przestań, to nasza praca – sarknął Maciek Chełmicki. Był zły, bo od czasu gdy *Papiół i diament* wycofano z listy lektur czasem przez całe miesiące sam kurzył się na półce. – Jak kiedyś po kilka razy w tygodniu dostawałem kulkę w brzuch, to też nie łaskotało. No i zresztą co zrobisz? Do związków pójdziesz?

– Ależ kochana *Agnès* ma rację, *mon vieux* – łagodził spór hrabia de Monte Christo, przesypując proszek w szmaragdowym pudełeczku, którym się machinalnie bawił. – Co do mnie, to najgorzej jest za każdym razem wytrzymać te czternaście lat w lochu. No, przynajmniej zawsze wiem, że się jednak zemszczę.

– A ja niby co mam powiedzieć? – burknął znad szklanicy węgrzyna pułkownik Wołodyjowski, którego ledwie było widać zza krawędzi stołu. – Zawsze jak już prawie ma się skończyć, ten idiota Ketling wysadza mnie w powietrze razem z zamkiem. Wiecie, waszmościowie, jaki to ból? A potem jeszcze jakiś klecha się drze, że nieprzyjaciół w granicach i czemu ja na koń nie siadam; mądrała, niechby tak sam spróbował się na konia z urwanym tyłkiem.

Ktoś chrząknął, ktoś parsknął, ale nikt głośno się nie roześmiał.



Kiedy Michał sobie podchmieleł, nie było żartów; nawet jeden z olbrzymów z drugiej podróży Guliwera kulał kiedyś przez trzy tygodnie, bo miał całe łydki pocięte szablą (wyżej pułkownik nie sięgał). Tylko sam jubilat, który przysiadł obok na półce z glinianym kuflem w dłoni, rzekł życzliwie:

– Przynajmniej obaj przeszliśmy do historii. Dobrze i to, skoro żadna nie chciała nas na tyle, żebyśmy zostawili po sobie własne dzieciaki. Trudno, już takie widać są baby, że wołają drągali.

Wołodjowski spojrzał na niego koso, ale nic nie powiedział, bo miał do hobbita słabość; trubadur Jaskier mawiał, że pewnie nie znał nikogo innego, komu od czasu do czasu mógłby powiedzieć: „Mały”.

Za firankami było już jasno i wszyscy zbierali się z powrotem na zwykłe miejsca, kaszląc, ziewając i pogadując ze sobą, ciągnęli każdy na swoją półkę. Winnetou, który wciąż nie mógł przywyknąć do wody ognistej, trochę się zataczał i obijał o regały, ale dzielnie brnął w kierunku działu dziecięcego. Juda Ben Hur i Estera spierali się półgłosem w kącie: „Nie będziesz prowadził w takim stanie”. „To mój rydwan, kobieto, i ja decyduję, kiedy mogę nim powozić”. „Następnym razem schowam ci lejce, zobaczysz”. Jagiełło Sienkiewicza i Jagiełło Józefa Hena przypadkiem trafili na siebie po drodze do swoich półek i wymienili niechętnie ukłony. Przegalopowali Don Kichot z przygłupim giermkim i zniknęli gdzieś w głębi alejki z literaturą obcojęzyczną. Zaraz po nich maszerował czwórkami oddział obrońców Westerplatte, podśpiewując cichutko. Sunący za nimi hrabia Drakula odczekał, aż pójdą prosto w kierunku „Poezji/Dramatu”, po czym pomknął jak strzała w stronę swojego działu, przenikając bez trudu przez meble i kolegów. „Przez całą wieczność mi się to nie znudzi” – pomyślał.

Kiedy punktualnie o dziewiątej zgrzytnął klucz w drzwiach wejściowych, już tylko ostatni, najbardziej opieszali goście Bilba mościli się na półkach przed snem, klnąc szeptem i łajac sąsiadów, żeby się posunęli. Bibliotekarka weszła do środka i rozejrzała się po sali.

Wszystko było w porządku. Westchnęła, usiadła za biurkiem i odłożyła torebkę na blat. I wtedy jej wzrok padł na samotną książkę leżącą na podłodze tuż obok regału z literaturą dziecięcą. Podeszła i podniosła ją – oczywiście, jak zwykle *Śpiąca królewna*... Ostrożnie odniosła ją na właściwe miejsce, starając się nie robić hałasu; mała musi trochę odpocząć i do wieczora będzie jak nowa. „I tak dzisiaj skończyło się wyjątkowo spokojnie” – pomyślała bibliotekarka. „Dużo gorzej było, gdy d’Artagnan świętował awans na porucznika muszkietierów i bijąc się z kimś, niechcący stłukł akwarium z Moby Dickiem; potem przez cały tydzień trzeba było coś zmyślać, kiedy goście biblioteki pytali, czemu wszędzie tak czuć rybami”.

